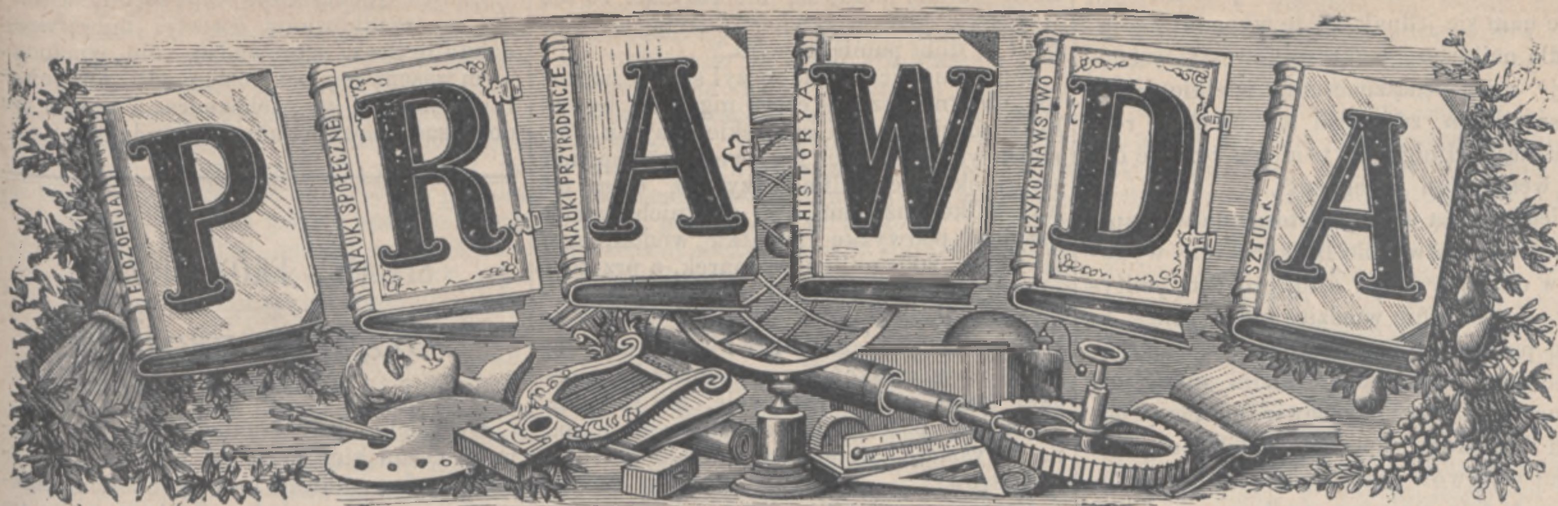
№ 26. Warszawa, dnia 25 (13) Czerwca 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Przypominamy szan. abonentom termin kwartalnej przedpłaty oraz ponownie, dla uniknięcia późniejszych nieporozumień, zaznaczamy, że **Historyę wieku XIX** otrzymają (pierwszą połowę) ci tylko abonenci, którzy prenumerowali **Prawdę** przez rok cały.

Dzieło Morgana **Społeczeństwo pierwotne** wyszło z druku i za zwrotem kwitów prenumeracyjnych odebranem być może w Administracyi naszego pisma. Nabywcom prowincyonalnym wysłane zostało pocztą. Cena obecna rs. 4.

Uwaga. Stosownie do życzenia abonentów **Prawdy**, cenę dzieła Morgana **dla nich** pozostawiamy dawną, tj. rs. 3, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 50.

POLITYKA.

OBJAWY ZNACZĄCE.

W chwili obecnej słowianie południowi jak opiłki żelazne do magnesu przylegają lub dążą do Rosyi. Z wyjątkiem jednej Bułgaryi, której odwrotne usposobienie może niedługo uledz tej samej sile, wszędzie widzimy bieg uczuć politycznych w kierunku północno-wschodnim. Nawet plemiennie i religijnie najdalej odsunięci czesi płyną z tym prądem. Warto czytać, co piszą młodoczesi, a nadewszystko warto wiedzieć, co głosi i jak chętnie jest słuchanym dr Skrejszowski w swym *Vychodzie*. Wypowiada on zupełnie „braterstwo" polakom, drwi z ich przyjaźni, z ich złudzeń i uroszczeń, przeskakuje wreszcie do nas, ażeby potwierdzić wywody p. Kojałowicza. Wspominając np. o zachodnich prowincyach Cesarstwa i wykorzenianych a odrastających tam pretensyach, powołujących się na prawa wpływów i zdobyczy cywilizacyjnych, powiada: „Jest to kraj (Litwa, Ukraina itd.) równie rosyjski, jak gubernia tambowska lub penzeńska... Zresztą dziś jeszcze Galicya dostarcza dowodów, co znaczyła ta polska *cywilizacya* nawet dla ziem jej własnych. Była ona gnębieniem ludu na korzyść szlachty. To też chłop polski odetchnął swobodniej wtedy dopiero, kiedy go wypadki uwolniły od kultury polskiej i oddały pod opiekę rządu rosyjskiego... W Malorosyi, gdzie polscy obywatele ziemscy w r. 1863 powstali przeciw rządowi, włościanie z własnego popędu tworzyli całe pułki straży, chwytali szlachtę i odwozili do Kijowa. Gdyby rząd nie stanął w jej obronie, zniknęłaby ona bez śladu." Wysławiwszy Murawiewa, dr Skrejszowski kończy: „Dopóki polacy nie uznają języka rosyjskiego za mający tam wyłączne prawo obywatelstwa, nie może być mowy o zgodzie ich z rosyanami, *a więc i z nami.*"

Przytoczyliśmy te twierdzenia nie dla ich przedmiotu, ale dla scharakteryzowania prądu, który coraz mocniej z łona Czech się wyrywa. Skoro zaś on tam jest tak silny, łatwo obliczyć jego moc śród tych słowian południowych, w których go nie powstrzymują różnice wyznaniowe i plemienne. W numerze poprzednim zaznaczyliśmy zmianę kierunku rządów w Serbii. Do steru wrócił Ristić, znany przyjaciel Rosyi. Dla spraw szerszych niż plotki dworskie jest obojętnem, czy Milan powołał go dla przeprowadzenia rozwodu z żoną — jak chcą jedni, czy też dla sklejenia zgody małżeńskiej — jak głoszą drudzy. Według obu źródeł królowa Natalia miała oświadczyć mężowi, że nie zniesie nadal polityki, która czyni Serbię nieprzyjaciółką Rosyi a służebnicą Austryi, że wskazała mu: *hic salta, hic Rhodus.* Ostatnie wiadomości donoszą, że Milan wpadł w nadzwyczajne rozdrażnienie nerwowe, zapowiadające nawet potrzebę utworzenia regencyi. Niewątpliwie przechodzi on jakąś ciężką walkę, łamie się, czy tylko zgina w jakiejś ciężkiej ofierze. Ale— powtarzamy — dla nas w tej chwili, zwłaszcza dopóki jaśniejszy promień mroku stosunków osobistych nie oświeci, jest to kwestya poboczna. Pierwszorzędną stanowi nadzwyczajny zapał, z jakim ludność przyjęła powracającego do władzy Risticza. Z początku można było przypuszczać, że był on bądź sztucznie na miejscu wywołany, bądź w roznoszących go po świecie drutach pośrednictwa wzmocniony. Dziś wszakże, porównawszy doniesienia różnostronne, widzimy, że w Serbii istotnie wybuchła nienawiść do Austryi i Garaszanina a sympatya dla Rosyi i Risticza. Zmiana steru liczy już tygodnie, a wybuchy trwają ciągle. Niepodobna więc ich uważać za potok płytki i wązki i przyznać trzeba, że Rosya znowu odzyskała wpływ na Serbię i to daleko silniejszy, niż posiadała przedtem. A chociaż Ristić zapewnia, że utrzyma dotychczasowy stosunek z Austryą, niewątpliwie pójdzie on szybko za biegiem swych uczuć, zwłaszcza gdy go w tym kierunku popchnie opinia publiczna. W Wiedniu usiłują zachować dobrą minę, ale jest to tylko gra aktorska. Sama Serbia nie może być groźną dla Austryi, ale groźne jest jej oddziaływanie na inne ludy słowiańskie, rozszerzenie się podstawy, która na półwyspie Bałkańskim dostarcza oparcia polityce rosyjskiej. Dyplomaci wiedeńscy zbyt blizko mają przed oczami niebezpieczeństwo, ażeby go mogli nie widzieć; a jeżeli udają spokojnych, to tylko dlatego, że nie chcą budzić u siebie popłochu i zdradzać swej niemocy.

Może przeceniamy doniosłość przewrotu w Serbii i harmonizujących z nim

prądów w Słowiańszczyźnie południowej; zdaje nam się jednak, że te wypadki i objawy dla najbliższego okresu „kwestyi wschodniej“ mieć będą znaczenie wielkie. Przedewszystkiem zaś, jeśli się utrwalą, rozstrzygną los Bułgaryi i to nie na korzyść dążeń, wcielonych w regencyi.

Kiedy Rosya uzna za stosowne wystąpić czynnie na półwyspie Bałkańskim i wykonać w dalszym ciągu swój program polityczny — naturalnie wiedzieć nie możemy; to tylko pewne, że pora obecna jest wyjątkowo dla niej przyjazną. Rusini galicyjscy, czarnogórcy, czesi, serbowie, nie licząc odłamu bułgarów, uprawili należycie grunt dla jej wpływów i zwycięstw. Nie przeczymy, są to fale zmienne, ruchome, w żaden bieg prawidłowy nieujęte, ale dziś biegną one gwałtownie za jednym, północno-wschodnim prądem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Królowa Wiktorya, której 50-letni jubileusz wstąpienia na tron przed kilku dniami uroczyście obchodzili anglicy a z nimi dwory europejskie, może wierzyć szczerości wylanych jej uczuć narodu. Jest ona bowiem wcielonym ideałem jego pojęć o władzy najwyższej. Kobieta, a więc mniej dostępna ambicyom rządzenia, przytem kobieta z natury łagodna i dobra, podtrzymuje zasadę monarchiczną, a w niczem nie ogranicza faktycznej rzeczypospolitej. W Anglii, gdzie życie konstytucyjne tak wysoko rozwinięte, gdzie cała władza rozpłynęła się w stronnictwach, gdzie tronowi pozostawiono tylko godła i honory, dobrotliwa i umiejąca swą godność piastować niewiasta jest dla korony najodpowiedniejszą. Mężczyzna nigdy by nie wytrwał w takiej roli biernej, nie oparłby się pokusom do samodzielności, nie powierzyłby bezwzględnie steru przedstawicielom narodu. Królowa Wiktorya nad 300 milionami swych poddanych umiała panować, nie rządząc. To też wszystkie prawie żywioły złożyły jej za to hołd w dniu pamiątkowym.

Sejm niemiecki zakończył swe posiedzenia, otrzymawszy — czego nigdy nie bywało — podziękowanie cesarskie (czytaj: Bismarkowskie). Bo też jego większość spisała się gracko: uchwaliła wszystko, czego od niej tylko zażądano. W ostatnich dniach przyjęto podwyżkę podatku wódczanego, tj. około 200 milionów marek, a przytem nieostrożny minister skarbu obiecał, że „wódka jeszcze dalej krwawić musi,“ to znaczy, że puszczenie krwi narodowi z tej żyły jeszcze nieskończone. Czeladź kanclerska, która spełnia jego wolę, ale nie lubi, ażeby jej posłuszeństwem straszono naród na przyszłość, wzięła ten „nietakt“ za złe ministrowi.

Proces o zdradę stanu alzatczyków, uczestniczących w działaniu ligi patryotycznej, ukończono przed sądem lipskim i skazano winnych (z wyjątkiem dwu) na jedno lub dwuletnie więzienie. Gorętsi francuzi podnieśli krzyk, domagają się odwetu na niemcach między nimi żyjących, słowem podpalają namiętności, które może nie buchną płomieniem, ale w każdym razie przybliżają nieodwołalny dzień ostatecznej orężnej rozprawy. Przyszłe starcie francusko-pruskie coraz bardziej i widoczniej rysuje się jako skutek niezłomnej konieczności. Rzeczywiście prusactwo nie szczędzi podrażnień. Tak np. znany pisarz Delpit przybył do Strasburga, zaproszony przez znajomych, a chociaż poprzednio uzyskał pozwolenie od władz miejscowych, kazano mu natychmiast wyjechać. Całe zdarzenie opisał w dziennikach i dolał oliwy do ognia.

Zgoda papieża z królem włoskim pływa ciągle po wierzchu prasy europejskiej. Broszury temu przedmiotowi poświęcone wyrastają jak grzyby. Z obu stron wychyla się wielka do porozumienia skłonność. Leon XIII już dawno podpisałby umowę, gdyby go od niej nie odciągali za poły „nieprzejednani“ — synkowie Lojoli, którzy ciągle w Watykanie posiadają wpływ znaczny. Jeżeli włosi nie zacietrzewiają się do tej sprawy, to tylko dlatego, że ich ochładzają kłopoty z Abisynią, z którą muszą prowadzić teraz zupełną wojnę.

Znowu „poczyniono odpowiednie kroki“ dla uporządkowania kwestyi bułgarskiej; dokąd te kroki zaprowadzą, nie wiadomo. Tymczasem regenci postanowili nie powoływać na tron ks. Aleksandra, a nawet nie doradzać sobraniu żadnego kandydata.

SPRAWY EKONOMICZNE.

POŻĄDANY PROJEKT.

Dr Teodor Kalkstein w odczycie na sejmiku toruńskim poruszył jedno z najważniejszych zagadnień naszego ekonomicznego i społecznego bytu. Zastanawiając się nad przyczynami moralnego i materyalnego osłabienia ludności polskiej, zwłaszcza wieś zamieszkującej, widzi je w nieprawidłowym podziale własności ziemskiej, prowadzącym za sobą brak średniego stanu rolniczego.

Nie będziemy po szczególe rozbierali wszystkich wywodów autora, dostępnych wreszcie dla każdego, gdyż mowa dr. Kalksteina wyszła w osobnej broszurze (*Położenie nasze a ustawa o kolonizacyi niemieckiej*. Toruń, 1877), lecz zastanowiwszy się nad myślą przewodnią, zobaczymy, o ile w tutejszych stosunkach urzeczywistnienie jej byłoby pożądanem.

Pan K., mówiąc o stosunkach poznańskich, widzi tamtejsze rolnictwo w ręku dwóch stanów. U góry — latifundya wielkich właścicieli, u dołu — drobne działki włościańskie. Stosunek pierwszych do drugich dochodzi w Prusach zachodnich do 43%, w Poznańskiem do 57%. Stanu średniego niema.

Położenie takie wywiera fatalny wpływ społeczny. Jednostki rodzin szlacheckich, którym w udziale nie przypada gospodarstwo latifundyalne, nie chcą, czy wstydzą się pracy posiadacza średniej własności; włościanie zaś nie umieją przez inteligencyę i pracę dobić się „surdutowego“ stanowiska, w którem by chłop miał inteligencyę szlachcica bez wad jego.

Chcąc w drabinę społeczną powstawiać brakujące jej szczeble, dr K. zaleca wytwo-

POWIEŚĆ.

PRZYGODA WALTERA SCHNAFFSA

przez

Guy de Maupassanta.

Od chwili gdy wstąpił na ziemię francuską wraz z całą armią nieprzyjacielską, Walter Schnaffs uważał się za najnieszczęśliwszego z ludzi. Był tęgi, chód miał utrudniony, sapał ciężko i cierpiał bardzo na nogi, nader płaskie i nader grube. Zresztą posiadał usposobienie spokojne i życzliwe, nigdy wspaniałomyślny, ani zapalny; nadto był ojcem czworga dzieci, które ubóstwiał, i mężem młodej blondynki, za którą pieszczotami, pocałunkami i opieką tęsknił co wieczór. Lubił wstawać późno a kłaść się wcześnie, jeść powoli smaczne rzeczy i pić piwo w bawaryach. Prócz tego przypuszczał, że wszystko, co jest w istnieniu naszem słodkie, znika razem z życiem; i dlatego żywił w sercu straszną nienawiść, instynktowną i wyrozumowaną zarazem dla dział, fuzyj, rewolwerów i szabel, przedewszystkiem zaś dla bagnetów, czuł się bowiem niezdolnym do władania z dostateczną szybkością tą bronią lekką, dla zasłonienia wielkiego swego brzucha.

Gdy noc zapadała i kładł się na ziemi, obwinięty w płaszcz, obok chrapiących towarzyszów, długo rozmyślał o swoich, których zostawił w domu i o niebezpieczeństwach, jakiemi najeżoną była jego droga. Jeśli go zabiją, co stanie się z drobiazgiem? Kto go wykarmi i wychowa? I teraz nawet nie były dzieci jego bogatemi, pomimo, iż na wyjezdnem pozaciągał trochę długów, ażeby im zostawić nieco pieniędzy. Więc Walter Schnaffs płakał czasami.

Jak tylko rozpoczynała się bitwa, uczuwał w nogach taką niemoc, że z ochotą dałby się powalić, gdyby nie obawa, że cała armia przejdzie po jego ciele. Świst kul sprawiał, że na całej skórze włos stawał mu jeżem.

Miesiące mijały, a on żył tak w trwodze i niepokoju.

Korpus, do którego należał, posuwał się ku Normandyi. Pewnego razu Schnaffs wysłany został na zwiady z niewielkim oddziałem, który miał po prostu zbadać okolice i natychmiast potem cofnąć się. Wszystko zdawało się być spokojnem; nic nie zapowiadało przygotowanego oporu.

Zaledwie jednak prusacy zaczęli w ciszy spuszczać się w małeńką dolinę, poprzerzynaną głębokimi parowami, gdy nagła strzelanina zatrzymała ich w miejscu, położywszy ze dwudziestu trupem. Z przyległego lasku, wielkiego jak dłoń, wypadła gromada wolnych strzelców i rzuciła się naprzód, zasadziwszy bagnety na karabinki.

W pierwszej chwili Walter Schnaffs jakby wrósł w ziemię, osłupiały i tak zmieszany, że nie myślał wcale o ucieczce. Następnie opanowała go nieposkromiona chęć umknięcia. Prędko jednak zważył, że byłby żółwiem w porównaniu z chudymi francuzami, którzy nacierali, skacząc jak stado kóz. Wówczas to spostrzegł na jakie sześć kroków przed sobą szeroki rów, porosły wewnątrz krzakami a zewnątrz pokryty suchym liściem; skoczył więc w dół równemi nogami, mało troszcząc się o głębokość, zupełnie tak samo, jak się skacze z mostu w rzekę.

Na podobieństwo strzały przebił grubą warstwę pnących się roślin i ostrych cierni, które mu kaleczyły twarz, ręce i upadł, siadając ciężko, na łożysko kamieni.

Gdy odemknął oczy, przez otwór, który spadkiem swym zrobił, ujrzał niebo nad sobą. Ta niebezpieczna dziura łatwo mogła go zdradzić; pełzając więc na czworakach z zachowaniem rozmaitych ostrożności, po dnie parowu, pod dachem ze splecionych gałęzi, oddalał się, jak mógł najszybciej od pola walki. Poczem zatrzymał się i usiadł znowu, skulony jak zając pośród zeschłych chwastów.

Przez jakiś czas słyszał jeszcze huk, krzyki i skargi. Dalej już odgłosy utarczki słabły, aż ucichły zupełnie. Wszystko odzyskało swój niemy spokój.

Nagle coś przemknęło się koło niego. Zerwał się przerażony. Był to ptaszek, który usiadłszy na gałązce, poruszył martwe liście. Przez całą godzinę następną serce Waltera Schnaffsa uderzało silnem, przyspieszonem tętnem.

Nadeszła noc, zapełniając wąwóz ciemnością. Żołnierz zaczął dumać. Co robić? Co się z nim stanie? Przyłączyć się do armii? Ale jak, którędy? Jeśli to uczyni, powtórzy

rzenie średniego stanu rolniczego, za pomocą dzierżaw, z obszaru większej własności wydzielanych. Na poparcie teoryi przytacza przykład, z własnej praktyki zaczerpnięty. Jeden ze swych majątków, 1,550 morgów gruntu obejmujący, dr Kalkstein rozdzielił na parcele 200-morgowe i wypuścił je w dzierżawę na 20—25 lat; czynsz pobiera żytem lub gotowizną podług każdorocznych cen targowych. Ten ostatni warunek bardzo jest dla dzierżawców korzystny, gdyż nie zależąc od zmian rynku zbożowego, stanowiących o zysku lub stracie gospodarstwa, tem samem nie podlegają ryzyku. Wynik wreszcie powyższego układu najlepiej świadczy o jego praktyczności: podczas gdy dr K. poprzednio z tego samego majątku otrzymywał 10,500 marek czynszu rocznego od jednego dzierżawcy, dziś suma ta podniosła się do 14,500 marek, a i dzierżawcy i właściciel zupełnie są zadowoleni.

Oto, jak w praktycznem zastosowaniu przedstawia się myśl przez p. Kalksteina rzucona. W zasadzie uznawszy ją za dobrą, zastanówmy się, czy w naszem położeniu wytworzenie średniego stanu rolnego byłoby potrzebne?

Poglądy obecnie panujące drogę wyjścia z kłopotliwego położenia większej własności widzą w parcelacyi częściowej jej gruntów, uważając ją przytem zs środek zapobiegawczy przeciwko wzrostowi proletaryatu rolniczego. Droga ta ma swoje dobre, ale ma i złe strony. Praktykowana u nas parcelacya tworzy drobne posiadłości od 5 do 15 morgów przeciętnie, czyli daje podstawy małej własnosci, która z jednej strony korzystna jako środek utrzymujący przy życiu liczne rzesze drobnych rolników, nie przedstawia wogóle pomyślnych i trwałych widoków w przyszłości.

Ulegając panującym obecnie prądom demokratyzującym, dążymy do uspołecznienia ludu, do poprawy jego bytu, wołamy wszyscy: parcelacya! W tem jednem słowie upatrujemy zbawienie, ale czy parcelacya, wykonywana tak, jak ją obecnie pojmujemy, da szczęście temu ludowi?

Jesteśmy społecznością opóźniającą się zawsze, a stosunki gdziendziej przeżyte i odrzucone, wprowadzamy u siebie jako nowość, jako ratunek zbawczy.

Zbyteczne rozdrobnienie małej własności w krajach, wyżej cywilizacyjnie stojących, nie przyniosło dobrych rezultatów. Dziś widzimy, jak idea dobrostanu rolnictwa, oparta na własności małej, traci na zachodzie uznanie. Występują prądy przeciwne.

Nie mówiąc o kulturze ogrodowej, która w okolicach podmiejskich zawsze będzie popłatną, gospodarstwa zbożowe na małej przestrzeni coraz szybciej dążą do upadku i pochłaniane bywają przez latifundye. Oto przykłady, jakie zaznacza R. Mayer w swem dziele: *La crise internationale de l'industrie et de l'agriculture*. W Brunświku w ciągu lat czternastu mała własność straciła przeszło 4,000 hektarów; na Szlązku w tymże okresie czasu 196,000 morgów osad włościańskich włączono do latifundyów; w w. ks. Sasko-Wejmarskiem od 1850 do 1885 roku mała własność zmniejszyła się o 13%. W Węgrzech i Siedmiogrodzie w ciągu lat 12 liczba osad włościańskich z 1,631,071 spadła na 1,133,086, w Czechach 211,007 jochów ziemi przeszło do latifundyów.

Te same fakty dają się spostrzegać we Francyi i Włoszech, gdzie małe gospodarstwa albo zupełnie nie znajdują dzierżawców, lub też są brane po cenach bajecznie nizkich. Tamtejsi zaś właściciele uważają za pożyteczne łączyć małe parcele w większe folwarki i wypuszczać je dzierżawcom zamożniejszym.

Na takie fakty nie można zamykać oczów, utrzymując, że stosunki tutejsze są odmienne. Przywiedzione powyżej dane tyczą się gospodarstw zbożowych, istniejących mniej więcej w tych samych co u nas warunkach handlowych, kulturalnych i klimatycznych. Świadczą one, że w czasach kapitalizmu mała produkcya nie zdoła się oprzeć wielkiej, że zatem bardzo ostrożnie należy zalecać środki, które na razie tak nam się nęcącymi wydają.

Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem parcelacyi, ale jako lekarstwo powszechne przepisywać bym jej nie śmiał. Doraźnie może być ona korzystną, ale ani produkcyi krajowej nie podniesie, bo mała własność pod względem wytwórczości zawsze większej ustępuje, ani nie zapewni trwałości ustrojowi społecznemu. Lecz jeśli pomiędzy latyfundyami a małą własnością postawimy gospodarstwa średnie i nadamy im stanowisko główne, znajdzie się wtedy miejsce i chleb dla wszystkich pracowników roli.

I dlatego myśl rzucona przez dr. Kalksteina posiada wielkie znaczenie.

Średni stan rolniczy, to największa potęga kraju, któremu dostarcza najpewniejszej siły podatkowej, najlepszych wytwórców i spożywców, najinteligentniejszych i zamiłowanych w zawodzie pracowników.

U nas siły do wyłonienia tego stanu znajdą się łatwo. Młodzież ziemiańska, niemogąca zużytkować swej pracy w usługach publicznych, niedostępnych prawie, zamiast zajęć nieprodukcyjnych, znajdzie utrzymanie w dzierżawieniu gruntów posiadaczów większych, stanowiąc przytem żywioł, krzewiący światło nauki wśród synów ludu, którzy zamiast nabywać kilkunastomorgowe posiadłości, z większą korzyścią i dla siebie i dla kraju gospodarować mogą na stumorgowych lub większych obszarach.

Co do właścicieli latyfundyów, ci wydzierżawiając swe dobra, wyższą z nich z pewnością osiągną rentę gruntową, aniżeli dzisiejsza administracya dać im może.

W krótkim, jak na niniejszy, artykule, trudno wyczerpać kwestyę, w obronie której tyle powiedzieć by się dało. Ograniczamy się zatem na szkicowem zaledwie zaznaczeniu myśli, tak szczęśliwie przez dr. Kalksteina rzuconej, a mającej wszelkie warunki powodzenia u nas. Może do niej wrócimy, a zanim rzucone ziarno kiełkować zacznie, niech opinia ogółu zastanowi się uważnie i zrozumie, że wytworzenie licznej klasy średnich posiadaczów rolnych uchronić nas może od wielu przewrotów społecznych i ekonomicznych *). *Gozdawa.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYSTAWA HYGIENICZNA.

III.

Trudne, lecz nader wdzięczne zadanie podjęła sekcya fizyko-chemiczna. Postano-

*) Nie mamy nic przeciwko wytwarzaniu się takich gospodarstw średnich, owszem widzimy ich użyteczność, nie sądzimy jednak, ażeby one zastąpiły dodatnią stronę parcelacyi. *Red.*

---

się dlań to okropne życie wśród strachu, zgrozy, trudów i cierpień, jakie wiódł od początku wojny! Nic! Nie czuł w sobie do tego odwagi! Nie starczyłoby mu energii, potrzebnej do zniesienia marszów i stawiania co chwila czoła niebezpieczeństwom.

Ale cóż czynić? Nie mógł przecież siedzieć w tym parowie i kryć się w nim aż do końca zatargu? Rozumie się, że nie. Gdyby nie trzeba było jeść, perspektywa taka nie odbierałaby mu otuchy; ale cóż, kiedy jeść trzeba i to jeść codzień.

A tymczasem był sam jeden, uzbrojony, w mundurze, na terytoryum nieprzyjacielskiem zdala od tych, coby go mogli obronić. Dreszcze przebiegały mu skórę.

Nagle strzeliła mu do głowy myśl: „Gdybym tak został jeńcem!"

I serce zadrżało z żądzy, żądzy gwałtownej, z niepohamowanej chęci zostania jeńcem francuskim. Być wziętym do niewoli! Znaczyło to być zbawionym, pasionym, znaleźć przytułek w bezpieczeństwie od kul i szabel, bez żadnych obaw, w dobrem więzieniu, dobrze strzeżonem. Jeńcem! co za marzenie!

I bezzwłocznie powziął postanowienie:

— Pójdę i oddam się w niewolę.

Podniósł się zdecydowany zupełnie na wykonanie tego zamiaru, nie odkładając go ani na chwilę. I znowu stanął nieruchomie, zaskoczony nagle przez niemiłe refleksye i obawy.

Ale dokąd ma się udać i o pardon prosić? W jaki sposób? W którą stronę? I straszne obrazy, obrazy śmierci gromadą nawiedzały jego duszę.

Tłukąc się samotnie po wsiach, a w swym kasku z kolcem, narażał się przecież na nowe okropne przejścia.

Gdyby tak spotkał chłopów? Chłopi ci, ujrzawszy zbłąkanego prusaka, prusaka bezbronnego, zabiliby go jak psa, włóczącego się bez pana! Zakłuliby go widłami, motykami, posiekali kosami i rydlami! Zrobiliby z niego papkę i podrobili na gałki da drobiu, z rozpaczliwą zajadłością zwyciężonych.

A jeśli spotka wolnych strzelców? Szaleńcy ci, nie znający ani prawa, ani karności, dla samej zabawki wzięliby go na cel. I widział się już opartym o mur z twarzą zwróconą ku dwunastom strzelbom, których małe, czarne lufy zdawały się przyglądać mu.

A jeśli spotka całą armię francuską? Przednie straży wzięłyby go za forpocztę, za śmiałego i przebiegłego wojaka, który sam wyjechał na zwiady, i byłoby po nim. I słyszał już nieprawidłowe strzały żołnierzy, ukrytych w zaroślach, podczas gdy on widoczny dla wszystkich, stojąc na gołem polu słaniał się, przedziurawiony jak rzeszoto kulami. I czuł, jak kule wchodziły w ciało jego.

Usiadł więc znowu, pognębiony. Położenie wydawało mu się bez wyjścia. Noc była już zupełna, czarna i głucha. Nie ruszał się, drżąc za każdym nieznanym, choćby najlżejszym szelestem, jaki zasłyszał w mroku. Królik, drepczący po brzegu swej jamy, omało co nie zmusił do ucieczki Waltera Schnaffsa. Hukanie puszczyka rozdzierało mu duszę, przejmując ją lękiem bolesnym jak rana. Wytrzeszczał oczy, próbując przebić wzrokiem ciemności; i co chwila roiło mu się, że ktoś koło niego przechodzi.

Niezliczoną ilość godzin przebył tak w mękach skazańca, aż nareszcie dojrzał przez swoje sklepienie z gałęzi jaśniejące niebo. Wówczas uczuł niesłychaną ulgę; rozprostowały się członki, ułożone do spoczynku, uspokoiło się serce; oczy — skleiły. Zasnął.

Gdy się obudził, słońce było już w połowie swej drogi na niebie; musiało być koło południa. Żaden szmer nie zakłócał ponurej ciszy pól; Walter Schnaffs spostrzegł, że mu dokucza silny głód.

Poziewał z czczości, z wargami wilgotnemi na wspomnienie kiełbasy, owej smacznej kiełbasy żołnierskiej; w żołądku czuł ściskanie.

Podniósł się, postąpił parę kroków, ale nogi były osłabione; więc znowu usiadł i począł rozmyślać. Spędził jeszcze ze dwie lub trzy godziny na rozważaniu wszystkich za i przeciw, zmieniając co chwila postanowienie, zgnębiony, nieszczęśliwy, szarpany przez najsprzeczniejsze plany.

Jedną myśl uznał wreszcie za rozsądną i praktyczną: oto wypatrzyć na drodze jakiegoś samotnego wieśniaka, idącego bez broni i bez niebezpiecznych narzędzi do pracy, wybiedz mu na przeciw i oddać się w ręce, dając dokładnie do zrozumienia, że to prośba o wzięcie do niewoli.

Wtedy zdjął swój kask, którego ostry czop mógłby go zdradzić, i wysunął głowę

wiła ona mianowicie objaśnić poglądowo publiczność, jakich pokarmów i napojów używać winniśmy, jakiem powietrzem oddychać, jakie materyały oświetlające wybierać, przyczem pokazano, o ile warunkom powyższym odpowiadamy w rzeczywistości. W tym celu trzeba było wszystkie produkty spożywcze poddać analizie, uczynić toż samo z wodą i powietrzem, zbadać nakoniec, czy w przedmiotach codziennego użytku, jak: obiciach, odzieży, zabawkach dziecinnych wreszcie — niema pierwiastków szkodliwych. O wszystkiem tem sekcya pomyślała, a spełniła swe zadanie z całą starannością i sumiennością. Spojrzawszy na setki różnorodnych analiz, zdumienie ogarnia, ile pracy i dobrej woli jednostek złożyć się musiało na całość tak umiejętnie i zarazem pouczająco dobraną. Przekonywa nas to również, że wspólnemi siłami wykonać można to nawet, co się niepodobieństwem wydaje. Publiczność też nasza, oceniając doniosłość powyższego działu wystawy i przeczuwając, jak wielką korzyść ze starannego rozpatrzenia się w nim osiągnąć może, tłoczy się doń i słucha z uwagą objaśnień, których udzielają prof. Łuczkiewicz, pp. Bukowski, Fabian, Flaum, Heilpern, Leppert, Lesser, Łubkowski, Mutniański, Nencki, Neugebauer, Praus, Rozpędowski, Rupniewski, Rosé i Szuch.

Przy wejściu do pawilonu (Raua) na podstawie jednej z licznych statui, upiększających plac wystawy, widzimy skład ludzkiego ciała, ilość i jakość pokarmów, potrzebnych w normalnym stanie zdrowia i podczas choroby, oraz wartość ich pożywną i stopień strawności. Dowiadujemy się tedy, że najważniejszą częścią składową naszego pokarmu są węglowodany, dalej białko i tłuszcze. Z pokarmów zwykle używanych, warunkom powyższym doskonale odpowiadają: kotlet wołowy, cielęcy — zawierają bowiem w sobie wszystkie trzy wymagane składniki. Wogóle mięso pieczone przedstawia daleko więcej wartości, niż gotowane. Z zup zaś najbardziej pożywną jest krupnik, dalej zupa mleczna, grzybowa — ostatnie miejsce zajmuje bulion, tak przez nas zwykle protegowany. Do strawnych należą mięso, mleko, ser i jaja, do najmniej strawnych — chleb i kartofle.

Tuż obok widzimy wzorowo urządzoną mleczarnię staraniem bar. Lessera. Gdyby wszystkie nasze większe gospodarstwa mleczne pomyślały o takich ulepszeniach, jakich wzór tutaj spotykają, osiągnęłyby na pewno większe daleko korzyści i uchroniły mieszkańców miast od produktu fałszowanego, jakim zalewają rynki zwykli dostawcy. Jednym z ciekawych przyrządów tu umieszczonych jest centryfuga, czyli maszynka poruszana siłą jednego konia, a oddzielająca dokładnie śmietankę od mleka zapomocą siły odśrodkowej. Tamże okazano przyrząd do oznaczania wartości mleka danej krowy (tj. ile ono w sobie zawiera śmietanki), również na działaniu siły odśrodkowej polegający. Bardzo dowcipnie pomyślanym jest przyrząd do wygniatania i solenia masła i wiele innych pomocniczych. Mleko z centryfugi ma tę przewagę, że stać może 48 godzin, nie kwaśniejąc (nawet nieprzegotowane), a to dlatego, że bywa ono przy samem oddzielaniu pasteuryzowane, to jest ogrzane do pewnej temperatury (55C°), zabijającej drobne grzybki, będące przyczyną kwaśnienia. Z tablicy, przedstawiającej pożywną wartość mleka rozmaitych zwierząt, przekonywamy się, że owcze postawić należy na miejscu pierwszym.

Dalej spotykamy okazy wszystkich jarzyn, za pokarm lub przyprawę używanych, oraz tablicę ich pożywności. Dowiadujemy się tu, że najpożywniejszemi są: bób, groch, czosnek, trufle, niewielką posiadają ziemniaki, prawie żadnej — ogórki i buraki. Składnikiem ostatnich jest w przeważnej części — woda. Obok znajdują się bardzo ładne tablice krajowych grzybów jadalnych i trujących, wystawione przez p. Chełchowskiego. Objaśnienie poucza, że substancya trująca w grzybach zawarta, zobojętnia się przez gotowanie z octem. W razach zatem wątpliwości, przygotowanie z nim uspokoić nas powinno. Z rozmaitych okazów zbóż, których piękne okazy wystawił p. Wasilewski, pszenica okazuje się najpożywniejszą. Widzimy kilogram jej rozebrany na części składowe i przekonywamy się, że wszystkie do odżywiania naszego ciała potrzebne w niej są zawarte. Tak np. bardzo wielką, bo aż 102 na 1000, jest ilość białka, znajdującego się w 2 postaciach: glutenu i zupełnego białka roślinnego. Z pierwszej z nich, tj. z glutenu, wyrabiają mąkę, chleb, makaron dla osób dotkniętych chorobą cukrową, niemogących spożywać zwykłego chleba, gdyż mączka zwykle w obfitości w nim zawarta (np. w pszenicy 636 na 1000), zamienia się na cukier, a tego chorzy tacy unikać powinni.

Obok spostrzegamy okazy mąki ze zbóż tych przyrządzonej i dowiadujemy się, że nie zawsze dostaje się nam ona do użytku w stanie zupełnie czystym: bardzo często dbający o dobrą wagę kupcy mięszają ją z kredą lub gipsem. Porownywając chleb pszenny, żytni — pytlowy i razowy — widzimy, że pożywność do strawności ma się w odwrotnym stosunku. Chleb razowy jest najpożywniejszym, lecz za to najmniej strawnym, dlatego też tylko zupełnie zdrowe osoby jadać go mogą.

W kolejnym naszym przeglądzie pominęliśmy tablice, przedstawiające rozmaite części mięsa pod względem pożywności. Najlepszą jest tkanka mięsna, dalej idą tkanka tłuszczowa, chrząstka, ścięgna i kości. Te ostatnie są tak mało pożywne, że rosół z nich gotowany służyć może chyba dla podbudzenia apetytu. Dowiadujemy się dalej, że w Warszawie rozdzielaniem mięsa na gatunki nie kierują względy pożywności danych części. Tak zwana np. „krzyżowa,“ zwykle do najlepszego gatunku zaliczana, rozciąga się od grzbietu, a raczej tylnej części ciała aż do zgięcia kolanowego, gdy tymczasem dolna jej część, czyli udo wołu, zawierające wiele ścięgna, jest mniej dalеko pożywną. Najbardziej celowi pożywności odpowiada podział wołu w Londynie, gorszym cokolwiek jest berliński i petersburski, najgorszym warszawski.

Przejdźmy do narkotyków, służących już to do podbudzania nerwów, już to do ułatwiania sprawy trawienia. Zaliczamy do nich herbatę, kawę, piwo, wino i wogóle napoje spirytusowe. Zarówno pierwszą jak i drugą własność posiada herbata. Substancya teiną zwana, pobudza nerwy i zarazem, drażniąc gruczołki żołądka, zmusza je do szybszego wydzielania soków. Od ilości też teiny dobroć herbaty zależy. Z rozbioru kilkunastu gatunków, dokonanych przez p. Bukowskiego, przekonywamy się, że niekoniecznie z wzrostem ceny wzrasta i wartość. Najlepszą okazała się sprzedawana po

---

po nad brzegi swej nory, zachowując przy tem nieskończoną przezorność.

Ani jednej żywej duszy nie widać było na widnokręgu. Tam, na prawo mała wioszczyna wysyłała ku niebu dymy swoich kominów, dymy kuchenne! Tam zaś, na lewo, gdzie się kończyła wysadzana drzewami alea, stał duży zamek, obwarowany wieżyczkami.

W ten sposób czekał do wieczora, cierpiąc niewypowiedziane katusze, nie widząc nic prócz lotu kruków, nie słysząc nic prócz tłumionych skarg własnych wnętrzności.

I znowu noc przykryła go.

Wyciągnął się w głębi swego schronienia i usnął snem gorączkowym, niepokojony przez zmory, snem człowieka wygłodzonego.

I znowu jutrzenka zajaśniała nad jego głową. Powrócił do swoich obserwacyj. Ale ulica była pusta jak i wczoraj; i nowa trwoga zakradła się do umysłu Waltera Schnaffsa, obawa śmierci głodowej! Widział się na dnie swej nory rozciągniętym, na grzbiecie, z oczami zamkniętemi. Następnie zwierzęta i małe zwierzątka wszelkiego gatunku zbliżyły się do jego trupa i zaczęły go jeść, napadając nań ze wszystkich stron odrazu, wślizgując się pod odzież, by kąsać zimne ciało. A wielki kruk ostrym dziobem wykłuwał mu oczy.

To znowu wpadał w szał, wyobrażając sobie, że omdleje z osłabienia i nie będzie mógł chodzić. I już, już gotów był rzucić się ku wiosce, zdecydowany na wszystko, zdolny wszystkiemu stawić opór, gdy w tem ujrzał trzech chłopów, idących przez pole z widłami na ramieniu, i znowu pogrążył się w swej kryjówce.

Ale, jak tylko wieczór mrokiem otulił równinę, wylazł pomału z parowu i puścił się zgięty we dwoje, bojaźliwy, z bijącem sercem w drogę ku zamkowi odległemu; wolał bowiem dostać się do jego wnętrza, niżeli dotrzeć do sioła, które go przejmowało zgrozą, niby ostęp pełen tygrysów.

W oknach dolnych było jasno. Jedno z nich było otwarte; i silna woń zarumienionego mięsa wydobywała się na zewnątrz; zapach ten gwałtownie przedostał się do nozdrzy i aż do jamy brzusznej Waltera Schnaffsa, wywołując skurcz, przyspieszając oddech, nęcąc nieprzezwyciężenie i wlewając w serce rozpaczliwą odwagę.

I nagle, nie zastanowiwszy się, stanął z kaskiem na głowie w oknie.

Ośm osób służby obiadowało, siedząc dokoła wielkiego stołu. Nagle jedna z dziewcząt roztworzyła usta, szklankę z rąk wypuściła i oczy stanęły jej słupem. Wszystkie spojrzenia poszły za jej wzrokiem!

Spostrzeżono nieprzyjaciela!

Boże wielki! prusacy atakują zamek!..

Był to najpierw krzyk, jeden jedyny krzyk, złożony z krzyków ośmiu, każdy z innego tonu, krzyk okropnego przestrachu; poczem wszyscy podnieśli się z miejsc w zamieszaniu, wszczął się rwetes, tłok i bezładna ucieczka ku drzwiom w głębi. Krzesła padały, mężczyzni przewracali kobiety i przechodzili po nich. We dwie sekundy pokój został opróżniony, opuszczony, a przed Walterem Schnaffsem, oszołomionym, wciąż stojącym w swojem oknie, stół pokryty wszelkiem jadłem.

Po kilku minutach wahania, wgramolił się na parapet i rzucił ku talerzom. Z ostatecznego głodu drżał jak w febrze: ale jedna obawa teraz jeszcze powstrzymywała go i paraliżowała. Słuchał. Cały dom zdawał się drżeć; trzaskano drzwiami, szybkie kroki rozlegały się nad głową. Zaniepokojony prusak z uchem wytężonem nadsłuchiwał tej pomięszanej wrzawy; później rozpoznawał głuche odgłosy jak gdyby ciał spadających na miękką ziemię tuż pod murem, ciał ludzkich, zeskakujących z pierwszego piętra.

Poczem wszelki ruch i cała krzątanina ucichły i wielki zamek zaległo milczenie grobowe.

Walter Schnaffs usiadł przed jednym z talerzy, który pozostawiono nietkniętym i zabrał się do jedzenia. Jadł wielkiemi kęsami, jak gdyby obawiał się, że mu lada chwila przerwą i nie pozwolą pochłonąć dostatecznej ilości. Oburącz rzucał kawały w swoją gębę otwartą, jak w otchłań. Całe zapasy żywności, jeden po drugim, szły do jego żołądka, rozdymając po drodze gardziel. Niekiedy przerywał sobie, jak gdyby miał pęknąć. Wówczas brał dzban z jabłecznikiem i przepłukiwał swój kanał pokarmowy, jak się przepycha zatkaną rurę.

W ten sposób opróżnił wszystkie talerze, wszystkie półmiski i wszystkie butelki. Obżarłszy się i opiwszy do syta, do zbydlęcenia, czerwony, wstrząsany czkawką, z umysłem zamglonym i napęczniałą gębą, rozpiął mundur, ażeby odsapnąć swobo-

3,16 rs. i 2,90 rs., gdy tymczasem herbata 5-rublowa, zieloną lub perłową zwana, składa się ze starych liści, zabarwionych kurkumą i błękitem pruskim. Ilość teiny przytem jest nieznaczną, zaledwie 1,7, gdy tymczasem dobra herbata zawierać jej zwykła 2,5 mniej więcej. Nadzwyczaj ciekawe są zafałszowania taniej herbaty po 1,20 rs. sprzedawanej. Jest to mianowicie mieszanina liści wązkolistnej wierzbówki (epilobium), jesionu i wymoczonej herbaty z dodatkiem piasku dla zwiększenia wagi. Gorszą jeszcze okazała się herbata nabyta w Kutnie; obciążona bowiem była opiłkami mosiężnymi i zabarwiona żywicą katechu.

Herbata prasowana w cegiełkach jest mieszaniną odsiewków rozmaitych gatunków herbaty i piasku.

Kawa również podlega sfałszowaniu. U nas dzieje się to nie w tak wielkim stopniu, jak za granicą, gdzie konsumcya tego produktu jest nadzwyczaj wielką. W Belgii np. zwyczajny palony cukier sprzedają za kawę. U nas wyrabiają również kawę z korzenia cykoryi, marchwi, buraków, żołędzi, zboża, słodu, brodawnika itp.

Kakao i wyrabiana zeń czekolada obfitują w części pożywne, z powodu jednak nadmiaru tłuszczu są ciężko strawne, dlatego też również tylko zdrowi spożywać je powinni.

Z rozbiorów piwa okazuje się, że do najlepszych należy pilzeńskie, zawiera bowiem w sobie wiele pożytecznych składników obok niezbyt wielkiej ilości alkoholu (5,17%). Daleko bogatszem w alkohol, a zatem mniej dobrem jest piwo kulmbacher (6,17). Podobnież mniej alkoholu zawiera dobre wino Bordeaux, niż węgierskie.

Wracając do piwa musimy wspomnieć, że nader często bywa ono przygotowywane w sposób dla zdrowia szkodliwy. Są fabrykanci, na szczęście zagraniczni, którzy zamiast chmielu, dla nadania gorzkiego smaku fałszują piwo rozmaitymi surogatami, między którymi obok tak niewinnych, jak wawrzyn (liście bobkowe), tatarak, mięta, lukrecya itd. widzimy rzeczy trujące, jak np. ziarnka kolocyntydy, kwas pikrynowy a nawet strychnina.

Za zasługę wystawie hygienicznej poczytać również należy obznajmienie publiczności ze sposobami fabrykacyi niektórych produktów pospolicie używanych. Tak np. p. Mutniański wystawił cały przebieg fabrykacyi cukru od buraka i jego soku aż do mączki cukrowej do użytku zdatnej. Spotykamy również okaz sacharyny, t. j. produktu otrzymanego w roku zeszłym ze smoły gazowej, słodyczą przewyższającego cukier kilkadziesiąt razy; wskutek jednak nieco przykrego smaku cukier prawdopodobnie nie prędko będzie mógł być przez nią zastąpionym.

Dalej uwidoczniono przebieg fabrykacyi piwa, tak jak się odbywa w browarze p. Junga, fermentacyę octu ze spirytusu, miodu, wina i t. p. Tak np. spirytus w stosownym przyrządzie, spadając kroplami na korę bukową, przy dostępie powietrza, dozwalającego na przeniknięcie bakteryi octowej, powodującej fermentacyę, przez ciąg 24 godzin zamienia się w ocet.

W tymże samym pawilonie są analizy rozmaitych barwników, używanych do przedmiotów w codziennem życiu spotykanych. Analizy te wykryły szkodliwe barwniki w cukierkach, w kiełbasach koszernych, w herbacie, jak to już wspominaliśmy, dalej w zabawkach dziecinnych, liściach, kwiatach i piórach do ozdoby kapeluszy służących, wreszcie w obiciach mieszkań.

Część sekcyi fizyko-chemicznej, pomieszczoną w pawilonie głównym opiszemy w artykule następnym; obecnie uzupełniając szczegóły żelaznego pawilonu, wspomnieć musimy o wystawionych tam zupach mięsnych w proszku, konserwach z bigosu, winach owocowych, kaszach, makaronach, krochmalach i mące z kukurydzy, piwach, winach, wódkach itp. Wszystkie te okazy poddane zostały analizie i okazały się bezwzględnie czyste, o ile jednak niemi w handlach, odpowiedzieć trudno; wiadomem być by to mogło wówczas tylko, gdyby urządzoną została pracownia rozbiorowa miejska, gdzieby każdy nabyty produkt za małą opłatą mógł być zanalizowanym.

BADANIA NAUKOWE.

ZBRODNICTWO A WIARA.

Do ulubionych piosnek wstecznictwa należy twierdzenie, że pomiędzy obojętnością religijną a zbrodnictwem zachodzi związek jaknajściślejszy. Gdyby strach religijny nie kiełznał namiętności ludzkich, świat rozprzęgłby się wśród występku. „W szeregu przyczyn, dających demoralizacyę, wzrost przestępstw, a szczególnie pomnożenie nieletnich kryminalistów, obojętność religijna niepoślednią odgrywa rolę — powiada jeden z naszych statystyków, autor dwutomowego dzieła *Zarysy stanu moralnego naszego społeczeństwa*. Na dowód przytacza ów fakt, że w miesiącu skruchy wielkanocnej ilość zbrodni się zmniejsza. Jeżeli to jest prawdą, daje nieszczególne świadectwo o wpływie konfesyonału. Wszak starczy zaledwie na kilka tygodni! Ażeby go więc rozciągnąć na rok cały, wypadałoby pokutę ponowić przez ten okres czasu przynajmniej ze dwanaście razy: po kilku pokoleniach doszlibyśmy niewątpliwie do zupełnego zwyrodnienia, już nie mówię — umysłowego, lecz i fizycznego, co wykazuje całą nieracyonalność oparcia moralności na spowiedzi i skrusze. Następnie nasuwa się drugie pytanie. Przypuśćmy — zdanie, którego bynajmniej nie podzielamy — że wiara i praktyki religijne wywierają taki wpływ umoralniający; czyż jednak duchowieństwo, stanowiące przecież warstwę opartą na zaprzeczeniu zasad fizyologicznych, tkwiących w organizmie ludzkim, jest w stanie odpowiedzieć stanowisku krzewiciela moralności? Doświadczenie wykazało Europie zachodniej całą szkodliwość wpuszczania do szkoły bezżennego nauczyciela, zwłaszcza duchownego. Jednem z praktycznych żądań antropologów-kryminalistów włoskich jest domaganie się, ażeby nauczyciele szkół ludowych byli żonaci i świeccy. Człowiek, któremu zabroniono zaspakajania nader ważnych potrzeb fizyologicznych i który przecież ich nie wytępił z organizmu swego, jeżeli nawet przez czas jakiś pozostanie posłusznym zakazowi, dojdzie do tem potężniejszego stanu nerwopa-

---

dniej, nie zdolny zresztą do ruszenia się z miejsca. Powieki zaczęły się zwierać, myśli — plątać; czoło ociężałe położył na rękach, skrzyżowanych na stole, i w słodkiem upojeniu stracił świadomość rzeczy i zdarzeń.

* * *

Blednący sierp księżyca z za drzew parku rzucał niewyraźne światło na cały horyzont. Była to owa chłodna godzina, co poprzedza dzień.

Po gęstwinie snuły się jakieś cienie, liczne a nieme; niekiedy w promieniu światła księżycowego połyskiwało ostrze stalowe.

Cichy zamek czerniał wielką sylwetką. Dwa tylko okna na parterze były oświetlone.

Wtem jakiś grzmiący głos zawył:

— Naprzód! dzieci do szturmu!

I w oka mgnieniu drzwi, okiennice i okna runęły pod falą ludzi, która piętrząc się, łamiąc i roztrzaskując wszystko, wdarła się do domu. W jednej chwili pięćdziesięciu żołnierzy, uzbrojonych aż do głowy, wskoczyło do kuchni, gdzie spoczywał bez żadnych wrogich zamiarów Walter Schnaffs i przyłożywszy mu do piersi pięćdziesiąt nabitych fuzyj, powaliło na ziemię i tacząjąc, skrępowało od stóp do głów.

On zaś, zanadto ogłupiony, by módz zrozumieć, co się dokoła dzieje, okładany kolbami i błędny ze strachu, sapał ogłuszony.

Nagle jakiś gruby wojak w mundurze ze złotem lamowaniem, postawił swą nogę na jego brzuchu, wołając:

— Jesteś pan moim jeńcem, poddaj się!

Prusak zrozumiał tylko to jedno słowo „jeniec“ i wystękał:

— Ja, ja, ja!

Podniesiono go, usadowiono na krześle; zwycięzcy, oddychając jak wieloryby, poczęli go badać z żywą ciekawością. Kilku też, zmęczonych wzruszeniem i trudem, usiadło.

On uśmiechał się; uśmiechał się teraz szczęśliwy, że został nareszcie jeńcem.

Wszedł inny oficer i zameldował:

— Panie pułkowniku, nieprzyjaciel podał tył, wielu, zdaje się, zostawiwszy rannych. Jesteśmy panami placu.

Gruby wojak, który ocierał pot z czoła, zagrzmiał:

— Zwycięztwo!

Poczem wyciągnął z kieszeni mały notatniki, napisał w nim: „Po zaciekłej walce prusacy zmuszeni zostali do ucieczki, unosząc zabitych i rannych, których liczą do pięćdziesięciu. Wielu też zostało w naszych rękach.“

Młody oficer zapytał:

— Jakież rozkazy otrzymam, panie pułkowniku?

Pułkownik odrzekł:

— Cofniemy się, ażeby uniknąć najścia sił przeważających i artyleryi.

I dał rozkaz do odejścia.

Kolumna uszykowała się w mroku pod murami zamku i pomaszerowała, otoczywszy ze wszech stron Waltera Schnaffsa, związanego, trzymanego przez dziesięciu wojowników, każdy z rewolwerem w ręku.

Posłano rekonesanse dla zbadania drogi. Posuwano się z całą roztropnością, zatrzymując się od czasu do czasu.

O świcie, oddział przybył do podprefektury La Roche-Oysel, której gwardya narodowa owego czynu wojennego dokonała.

Ludność miejscowa zaniepokojona i rozbudzona, pałała niecierpliwością. Gdy ujrzano kask jeńca, rozległy się straszliwe krzyki. Kobiety podnosiły pięście, stare płakały; jakiś dziad cisnął swoją kulę w prusaka i zranił w nos jednego z konwoju.

Pułkownik ryknął:

— Czuwajcie nad całością więźnia!

Wreszcie dotarli do ratusza. Otworzono więzienie i rzucili do wnętrza jego Waltera Schnaffsa, uwolnionego z więzów.

Dwieście ludzi uzbrojonych trzymało straż dokoła budynku.

Wówczas, pomimo wszystkich symptomatów niestrawności, jaka go od pewnego czasu trapiła, prusak nieprzytomny z radości, zaczął tańczyć, tańczyć na zabój, potrząsając rękami i nogami, wydając okrzyki frenetyczne, aż zziajany upadł pod ścianę.

Był jeńcem! uratowany!

Oto w jaki sposób zamek Champignet został odebrany nieprzyjacielowi, po sześciogodzinnem zaledwie oblężeniu.

Pułkownik Ratier, kupiec sukna, który spełnił to dzieło na czele gwardyi narodowej z La Roche-Oysel, otrzymał order.

Tłom. *N.*

tologicznego — stąd tylko krok jeden przedziela go od zbrodni. Można tu powołać się na fakty antropologii kryminalistycznej. Dlaczegóż wśród gwałcicieli i nawet ludożerców tak wielu znajdujemy jąkałów, garbatych zyzów, ospowatych? Czyż nie dlatego, że dzięki brzydocie fizycznej skazani są na przymusową wstrzemięźliwość? Organizm buntuje się przeciw postowi, a doprowadziwszy człowieka do stanu nerwopatologicznego, wybucha w taki zbrodniczy sposób. Jedyną deską ocalenia społeczeństwa przed takimi wybrykami pogwałconej żądzy jest to, że te ofiary ciemnoty, naznaczone tonsurą, systematycznie zaspakajają wyklęte potrzeby w związkach nielegalnych.

Wracajmy jednak do przedmiotu! Pogląd o wykluczającem się nawzajem zachowaniu religii i przestępstwa znajduje obrońców nietylko wśród warstw wierzących lub zainteresowanych. Są i niewierzący, którzy poniekąd podzielają to zdanie. Lecz fakt, iż z pośród wierzących wychodzi mnóstwo złoczyńców, zbyt jest oczywisty, aby zaprzeczyć mogli jego rzetelności. Wynaleziono więc teoryę różnych stanów osobowości: osobowość człowieka nie jest stałą, to jedne, to znów drugie grupy idej, uczuć i popędów stanowią zawartość świadomości; dziś panują w mojem „ja“ idee religijne wraz z popędami natury moralnej, jutro ustępują miejsca innym, zbrodniczym. Zebrane przez Lombrosa fakty druzgocą do szczętu ten eklektyzm, chcący zaspokoić i wilka i owcę. Przystępując do ich skreślenia, zauważymy jedno: tem, że religijność nie wyklucza zbrodni, zgoła jeszcze nie twierdzimy, żeby i niewiara nie mogła chodzić w parze z występkiem.

Trudno wyrokować ostatecznie o wzajemnym stosunku religijności i zbrodnictwa na zasadzie statystyki; niektórzy, jak Oettingen, przeczą nawet stanowczo, ażeby ta ostatnia mogła rzucić jakieś jaśniejsze światło na to zagadnienie. Wprawdzie moglibyśmy zdobyć przynajmniej przybliżone ocenienie, gdyby otrzymano dane, wykazujące pilność uczęszczania do kościoła zbrodniarzy i niezbrodniarzy. Lombroso usiłuje zebrać materyał faktyczny właśnie tą drogą. Znalazł on, że nieprzestępcy (wniosek z 500 ludzi) dostarczają większego procentu stale uczęszczających, ale jednocześnie i znaczniejszego zupełnie nieodwiedzających kościoła, aniżeli przestępca (badania nad 100); zbrodniarz okazuje się w masie pobożniejszym, lecz z niejaką niedbałością wypełniający obowiązki religijne. Leży to w jego naturze ruchliwej, nieprzywykłej do systematycznego wypełniania powinności. Dane powyższe tyczą się ogółu złoczyńców; rozpatrując oddzielne warstwy, znajdziemy różne stopnie religijności. Gwałciciele uczęszczają do kościoła o wiele gorliwiej, aniżeli nieprzestępca; zabójcy prawie w stopniu równym: Ferri przeprowadził w tej mierze systematyczne poszukiwania przeszło nad 200 mordercami; znalazł zaledwie jednego bezwyznaniowca, natomiast 7 skończonych dewotów; niektórzy, lubo pozwalali sobie żartować z duchowieństwa, zapewniali jednak, że wierzą. Jeden twierdził: „nie odemnie zawisło być uczciwym, wszak tylko Bóg może obdarzać tem uczuciem.“ Za wymowne świadectwo starczyć może ta okoliczność, że na 2,480 utatuowań, znalezionych wśród przestępców, 238 odtwarza symbole religijne, treść zaś tych ozdób na ciele zawsze odpowiada najgorętszym uczuciom utatuowanego. Zresztą należy dorzucić, że zbrodniarz stwarza sobie religię pełną zmysłowości i w Bogu widzi opiekuna i wspólnika czynów występnych.

A teraz na zasadzie faktów wykażemy, że wzmiankowana teorya osobowości, która znalazła u nas swój wyraz w dziełku p. Dawida *O zarazie moralnej*, nie posiada oparcia faktycznego. Verzeni, który udusił trzy kobiety i posunął się aż do ludożerstwa, należał do najgorliwszych i najszczerszych synów kościoła, spowiadających się regularnie; pochodził z rodziny nie tylko pobożnej, lecz nawet dewockiej. Boggia, osądzony w Medyolanie za 34 morderstwa, codziennie słuchał mszy, nie opuszczał żadnej ceremonii religijnej i głosił bezustannie religię i moralność; po każdem zabójstwie szedł do kościoła składać dziękczynienie. Jeden ojcobójca z Neapolu, cały obwieszany talismanami szkaplerzowymi i innymi, wyznał, że u Madonny błagał o siłę niezbędną do wykonania występku: „jestem pewny, że okazała mi pomoc, powiadał; gdyż za pierwszem uderzeniem ojciec padł martwy na ziemię; tymczasem jestem bardzo słaby!“ Należy zresztą zauważyć, że epileptycy, tak blizko stojący „zbrodniarza z urodzenia“ pod względem swego stanu patologicznego, wyróżniają się przesądnem dewoctwem. Cokolwiek czynią, czynią wskutek głosu Boga. „To nie ja mówię, to Bóg, który jest we mnie rozkazuje mi tak mówić i działać!“ Swe zbrodnie przypisują takiemu najwyższemu rozkazowi. Lombroso znał jednego, który zabił żonę i teściową na polecenie swego patrona, podbudzającego go słowem i znakami do morderstwa. Dr. Toselli przeprowadził systematyczne poszukiwania nad epileptykami z „dobrego towarzystwa“; u większości zauważył niezmierną religijność w połączeniu z popędami zbrodniczymi ku gwałceniu, podpalaniu, morderstwu i t. d. Co najważniejsza, sądzą oni, że to Madonna poleca im popełnienie zabójstwa i obdarza takiemi skłonnościami.

Poprzestaniemy na tej garstce przykładów, odsyłając po inne do samego dzieła, z którego je czerpiemy. Dowodzą one, że pogląd, jakoby religia tamowała popędy zbrodnicze, nie liczy się z faktami; z drugiej znów strony zbijają teoryę różnych stanów osobowości. Rzecz cała w tem, że pewną grupę zbrodniarzów, mianowicie „zbrodniarzów z urodzenia“ ciągnie do występku nie tyle potrzeba, ile patologiczny stan mózgu i nerwów. Taka chora jednostka ulega popędowi, lecz pod wpływem właściwej umysłowi ludzkiemu kazuistyki szuka powodów owej „nieprzepartej siły,“ którą ciągnie ją do zbrodni. Jeżeli jest religijną, powie, że to ją woła głos boga; jeśli niewierzącą, znajdzie inną wymówkę. Wiedeńscy anarchiści, którzy przedewszystkiem zasługiwali na leczenie w szpitalu, chcieli w ten sposób znaleźć środki pieniężne dla urzeczywistnienia swych ideałów! Zresztą Lombroso wynurza zdanie, że związek taki religii ze zbrodnictwem zgoła nie jest przypadkowy. Popędy zbrodnicze z urodzenia wynikają z nerwo-patologicznego stanu organizmu i powstrzymania jego rozwoju, są więc natury mocno atawistycznej. Religia znów wszelka jest stanem umysłowym, właściwym nizko rozwiniętemu człowiekowi. Nic dziwnego, że obie te cechy atawistyczne spotykają się zazwyczaj razem. Uczony włoski wypowiada tem samem twierdzenie, że wśród „zbrodniarzów z urodzenia“ religijność stanowi zasadę, niewiara filozoficzna — wyjątek.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

HENRYK IBSEN
i najnowszy dramat jego „Rosmershold.“

II.

Pewien przekonywający krytyk, sam subtelny beletrysta, powiedział, że trzeba mieć więcej, niż talent, aby stanąć oko w oko z prawdą. Nic łatwiejszego, jak tworzyć na skrzydłach fantazyi bohaterów, uosabiających pewną wadę lub cnotę, pewną ideę, lub formułkę, nic trudniejszego, jak zgłębiać życie i odtwarzać ludzi w ich skomplikowanej, zawiłej nieraz naturze szlachetnych pragnień, serdecznych porywów i nizkich skłonności. Nie wystarcza sama intuicya lub wyobraźnia; trzeba jeszcze nauki, głębokiej szczerości przekonań, poczucia prawdy i bystrego zmysłu spostrzegawczego. Klaudyusz Bernard, znakomity fizyolog i przyjaciel ludzkości, powiada we wstępie do nauki medycyny doświadczalnej: „Nie dojdziemy wprzódy do rzeczywiście jasnych i pożytecznych uogólnień zagadek i zjawisk życiowych, o ile nie będziemy doświadczać sami i poruszać w szpitalu, amfiteatrze anatomicznym lub laboratoryum ich gruntu cuchnącego nieraz, lecz zawsze drgającego życiem... Gdybym miał zrobić porównanie, objaśniające mój pogląd na życie, powiedziałbym, że ono przedstawia mi się jak salon wspaniały, jaśniejący światłem, do którego wejść można jedynie przez długą i brudną kuchnię...“

Doświadczać samemu, nie cofać się przed żadną najokrutniejszą analizą, wnikać w naturę ludzkich popędów i namiętności, złych czy dobrych — oto siła Henryka Ibsena, potęgująca się do krańcowych prawie wyników w najnowszym jego dramacie *Rosmershold*. Na tle zwyczajów Norwegii rozwija się opowieść smutna, burzliwa, ponura, jak owa piosnka poety, zaczynająca się od fałszywego akordu, a kończąca gwałtownem zerwaniem strun — stłuczeniem harfy, tragiczna od pierwszej sceny, zawierającej wspomnienie samobójstwa, aż do ostatniej, dobrowolną śmiercią dwojga bohaterów zakończonej. Wrodzone rozgoryczenie i pesymizm autora przechodzą tutaj w beznadziejne i udzielające się zrozpaczenie, a walka moralna całej grupy ludzi, łaknących prawdy i wyciągających bezsilne dłonie do ideału, starcie się dodatnich i ujemnych instynktów w pogoni za osobistem szczęściem i dobrem całej ludzkości, namiętna praca i gorący entuzyazm umysłów szlachetnych, wszystko się rozpada, niweczy, łamie wobec słabej, kruchej, grzesznej, bezsilnej natury ludzkiej. Idea wolności i postępu zostaje zaprzedana, poświęcona wszystko niweczącej, drazgoczącej namiętności; po za tą wszechpotężną siłą śmierć, nicość... *L'infinità vanità del tutto...*

Z walki dwóch gorących prądów dążenia do światła, swobody i rozkiełznanej namiętności, wydobywa się, jak iskra z krzemienia, dramatyczność sztuki.

W ponurej, starej posiadłości Rosmersholda mieszka były pastor Rosmer, samotny i przygnębiony śmiercią żony swej Beaty, która w przystępie niewytłomaczonego obłąkania rzuciła się z okna i utopiła w rzece. Odosobnienie w życiu Rosmera dzieli Rebeka, przyjaciółka nieboszczki, kobieta energiczna, śmiałego, niepodległego umysłu, a dzieli nietylko jego samotność, ale i myśli, pragnienia i dążenia. Oboje wśród atmosfery przestarzałych pojęć marzą i działają w wielkiej sprawie wolności i tworzą plany radykalnych reform społecznych na podstawie prądów i ruchów nowoczesnych. W koło nich rozpościera się krańcowy i bezmyślny konserwatyzm, na czele którego stoi fanatyczny rektor Kroll, brat Beaty. Do walki z partyą postępową, z „duchem buntu,“ pragnie Kroll wciągnąć Rosmera i dowiaduje się z oburzeniem, że pastor jest właśnie najgorętszym apostołem wolnej myśli, dla której opuścił nawet służbę kościoła; dowiaduje się zarazem, że Rosmer nie stoi sam, ale że mu dzielnie dopomaga w pracy dla idei Rebeka. Aby pozyskać dla „świętej sprawy“ chwilowo zbłąkaną owieczkę, chwyta się rektor różnych środków, przedewszystkiem zaś idzie mu o to, aby usunąć Rosmera z pod wpływu Rebeki. Oczernia ją więc, ale napróżno, w końcu wzbudza w sercu pastora podejrzenie, że Beata z zupełną świadomością pozbawiła się życia. Spostrzegła stosunek serdeczny męża do przyjaciółki, zrozumiała, że łączy ich prócz wspólnego ideału silniej-

czy jeszcze węzeł i poświęciła się. Rosmer, charakter słaby i chwiejny, nie wierzy, ale truchleje; duchowy związek swój z Rebeką uważa za czysty i święty; rektor grozi mu, utrzymując, że jest jeden tylko krok od wolnej myśli, gromadzi poszlaki, mąci umysł nieszczęśliwego, utrwalając go w przypuszczeniu, iż żona rzeczywiście dobrowolnie dla niego umarła.

Rebeka wie o wszystkiem, boli ją, że ludzka złość i przesądy wtargnęły do ich cichego życia: „Pięknie było, pamiętasz, gdyśmy oboje siedzieli, o zmroku, na dole w pokoju i pomagali sobie wzajemnie w układaniu nowych planów działania. Pragnąłeś wówczas na nowo wejść w życie, w pulsujące życie dnia, jak mówiłeś. Chciałeś, jak gość przynoszący z sobą swobodę, biedz z domu do domu i umysły i wolę ludzką dla swej sprawy zjednywać...“ Piękne ich sny skończone, stoją na rozstajnych drogach i czujemy, że dramat zbliża się, a burza zawiśnie nad ich głowami.

I nadchodzi rzeczywiście dla dwojga tych ludzi chwila, gdy wezbrana fala uczuć zrywa tamy i zapory moralne, huraganem błyskawic i piorunów uderza i łamie ich siły i wolę.

Jeśli pierś z drzewa, namiętność ją spali,
Jeśli z kamienia — roztrzaska,

powiada poeta i ta rozszalała namiętność, paląc serce Rebeki, roztrzaskuje słabą jej głowę o mury praw życiowych i społecznego porządku. Oszołomiona uczuciem, dręczona prześladowaniem, wyznaje głośno swą miłość i zbrodnię. Zawsze śniła tylko o wolności, o pracy dla ideału prawdy. „Nie znałam żadnych względów — odzywa się do Rosmera — żadnych stosunków, któreby mnie mogły od raz postawionego celu odciągnąć. Ale wtedy przyszło to, co wolę moją złamało i na całe życie nieszczęśliwą mnie uczyniło!“

— Cóż to było, powiedz, bo cię nie rozumiem.

— Wtedy przyszło to dzikie, nieokiełznane pragnienie...

— Czegoś pragnęła, mów...

— Ciebie...

Dalej wyznaje, że sama napomknęła Beacie o swoim z nim stosunku, że kroplę po kropli jak truciznę wlewała w serce i umysł nieszczęśliwej nieufność i trwogę, ukazując jej samobójstwo jako jedyny ratunek. Spowiedź ukochanej kobiety jak grom uderza w Rosmera, uderza tem silniej, że sam się czuje słabym i nędznym. Przed chwilą, zmęczony walką, znużony życiem, wyrzekł się ideału swego, przystał do partyi konserwatywnej, rzucił się w objęcia Knolla.

I tak stają oboje, ona z niepotrzebną już zbrodnią na sumieniu, zbrodnią, której zbrodnia rozdziela ją z ukochanym na zawsze, on, ze złamanem bożyszczem, oboje bez celu w życiu, jak dwa zwęglone trupy, bez sił, bez woli. Rosmer wspomina Beatę, jej zgon bohaterski, wskazuje na okno, z którego wyskoczyła: „w śmierci jest dziwna, rozkoszna, kusząca groza...“ Nęci Rebekę urokiem wspólnej śmierci. „Jeżeli ty pójdziesz, pójdę za tobą!“ Po chwili znajdują oboje w cichej fali grób i kres burzliwego, złamanego życia.

Krytyczny pogląd na ustrój społeczny i analiza tajemniczego „przyrządu do myślenia,“ który ma swe siedlisko w ciele zwierzęcia — człowieka, doprowadziły Ibsena do tych dziwacznych i niejasnych wyników, gdzie się pesymizm kończy, a misticyzm zaczyna. W braku wiary do ludzi i do sił ich moralnych, stawia jako rozwiązanie bolesnych zagadnień, nurtujących własny umysł i sumienie, gorączkowe rwanie się swych bohaterów, śmierć i rozkosze niebytu. Beata na samo podejrzenie, że przeszkadza szczęściu drugich, dobrowolnie umiera, Rosmer i Rebeka wobec utraty ideałów swoich i niemożności osiągnięcia szczęścia ziemskiego kończą samobójstwem; wszystkich nęci i kusi niedgadniony urok śmierci, *la gentilezza del morir* włoskiego pesymisty. Życie, ta walka wszystkich przeciwko wszystkim, jest za ciężkiem dla biednych, bezsilnych, rwących się czy do światła, czy tylko wprost do szczęścia, istot, które jakaś choroba moralna i brak równowagi psychicznej rzuca na pastwę rozpaczy bez wyjścia. Rosmer i Rebeka są od początku już sztuki skazani na śmierć siłą fatalizmu, wypływającego z ich słabości. Świat Ibsena jest jakby wielką kliniką szpitalną, a chorzy jego cierpią za winy ojców, za własne swe szlachetne i gorące porywy, za wadliwość praw społecznych, najdotkliwszem zaś ich cierpieniem jest brak woli i siły wytrwania... A z tego szpitala prowadzi krótka droga do wspólnego stołu nędzarzów, gdzie się grzebią wszystkie niezniszczone marzenia, wszystkie upadki, wszystkie krwawe bunty, cała nędza ułomnej, zbolałej natury ludzkiej, której przewodnie światła w wędrówce życiowej zagasły...

Słusznie bardzo zaznaczył P. Bourget, że w obecnej chwili mistycyzm opanował najśmielsze i najpotężniejsze umysły moralistów w całej niemal Europie; z potrzeby, z pragnienia jakiejś lepszej przyszłości — w którą jednak wierzyć nie jest zdolny — zrodzony, mistycyzm ten karmi się zupełnem ubezwładnieniem możności szczęścia i podsyca okrutną analizę nicości. Wzrosły na gruncie melancholicznego rozczarowania i niepokoju sceptycznego, przybiera u pisarzów północy ponure barwy fatalizmu, spotęgowanego już to tradycyą literacką, już posępną, mglistą atmosferą otaczającej go natury. Na podstawie tego fatalizmu rozwijają się ludzie ułomni, niezupełni, niezdolni do życia i czynu, których szlachetniejsze instynkta i skłonności zanikają w ogólnym odmęcie i rozkładzie praw moralnych i którzy aspiracyami swemi i dążnościami etycznemi i politycznemi zostają w wiecznej rozterce z codziennymi warunkami bytu. Mocą starożytnej filozofii Nirwany, odmłodzonej nowoczesną nauką, ci zrozpaczeni i zbuntowani zawczasu już noszą na sobie piętno śmierci...

W dramacie *Rosmersholm*, mimo dzikiej pogardy dla całego rodu ludzkiego, pogardy, która nie pozwala autorowi znaleźć jednego dodatniego charakteru w całej grupie ludzi, do życia i działania powołanych, mimo krańcowego pesymizmu, który nie pozwala przedostać się ani jednemu jaśniejszemu promykowi nadziei przez szarą ciemną atmosferę zrozpaczenia i niewiary, przebija taka oryginalność i wzniosły polot, taka potęga w wypowiadaniu prawd, nieraz gorzkich i nieprzyjemnych, takie silne i pewne siebie potępienie wszystkiego, co jest fałszem, egoizmem, wstecznictwem, że mu się mimowoli wybacza i pewien nielad i dziwaczność i nadużycie czarnego koloru, a rozumie się myśliciela, w którego mózgu i sercu odbiła się serdecznem echem skarga zbolałej ludzkości...

Są pisarze przeznaczeni do moralnego i umysłowego wykształcenia swego społeczeństwa i takim jest bez zaprzeczenia w namiętnej swej polemice H. Ibsen. Kazań nie prawi, rad nie daje, praw moralnych nie tworzy, ale patrzy, podsłuchuje, cierpi, buntuje się i zżyma. Jest niezadowolonym z tego, co się na świecie dzieje i stąd jego wpływ na współczesne żywioły i doniosłość dla przyszłych pokoleń. Bo, jak powiada autor *Dumań pesymisty*, „tylko umysły dręczone niepewnością, tylko serca szarpane rozpaczą zaprawowały nam to, z czego żyjemy i z czego jesteśmy dumni.“ A dalej jeszcze: „Co tylko cywilizacya posiada wzniosłego i cennego, to wszystko zawdzięcza niezadowolonym.“

Jadwiga Krausharowa.

Z ZACHODU.

XIV.

Noc czerwcowa. — Z bezsenności w literackie teorye. — Przyszła szkoła gołego nieba.

Parno było i szaro przez firanki otwartego okna; obudziłem się myślą o kronice. Zaspałem wczoraj pocztę, bo mię rozebrała 40-stopniowa kanikuła, a pisać rozebranym... czytelniczkom byłby despekt. Godzina druga; cicho jak w państwowej kasie. Wyszedłem, okrywszy się, na balkon, a gdy stałem, patrząc w noc cudną, gniewny, że przez życie dałem przeminąć tysiącom nocy podobnych i jeszcze przeminąć im dam, bo już postanowiła tak natura, co usypia w porę wszelkie stworzenie, by nie podpatrzyło, jak jest piękną rozebrana z szat słonecznych — trąciła mię nagła myśl; przysunąłem stolik, wziąłem kartę papieru, ołówek; patrzę i piszę. Lampy nie potrzeba — księżyc wystarczy.

Na lewo dwa ogrody: w tym bliższym szereg drzew, jawor rozłożysty, jednym końcem dotyka omszałej rudery. Na mur spadło ścięte przedwczoraj drzewo; wyrąbało go w tem miejscu. Dlaczego nie zabrano tego nagiego szkieletu? Lenistwo. Obracam głowę, nieco w głębi ogród drugi: willa z czerwonym dachem; okienice szczelnie zamknięte — zwyczaj, którego nigdy nie pojmowałem; wyrafinowane wygództwo. Pies gdzieś wyje do księżyca. Co go może gniewać? Chyba to, że mu nigdy nie odszczeknął i że tak chodzi, jakby psów na świecie nie było. Podobnie gryzipiórek skomli na człowieka nauki, że nigdy nie zszedł poklepać go po ramieniu. Przed domem gazony kwiatowe z popielatym aloesem w środku; na białym murze wina nowe pędy jasno zielone błyszczą od księżyca. Cyprys. Ten cyprys mię niecierpliwi... cicho! — z drugiego ogrodu odezwał się słowik, mój ulubiony. Znam głos jego donośny z pomiędzy tuzina innych, o! hołubił on mię w maju. Ale dzisiaj urywa, jakby zmęczony. Śpiewka jego składała się zawsze niby z dwu strof: w pierwszej szereg jednodźwięcznych jęków, wyrzucanych coraz to namiętniej, w drugiej wesoły tryl odmieniany coraz to inaczej. Dzisiaj zajęczy i utnie. Rozumiem, mój kolego: po miodowym miesiącu ogórkowe czasy... O czem to myślałem? O cyprysie. Czarny, sztywny, obojętny, mina wielkopańska. Jawor naprzeciwko ma minę taką dobroduszną! Myślę: czemu zrobiono go symbolem żałoby? Prędzej—nieszczęścia, co się odosabnia z dumy. Cyprys skupiony w sobie jednej gałązki nie wyciągnie serdecznej; nawet od innych drzew ucieka — samotnik. Żaden wiatr się nie podniesie, żaden liść nie zadrży. Wrzasnęły, uganiając się, dwa koty. Ten lubieżny krzyk samicy śród tej błogości przejmuje mię nieprzyjemnie. I to w sąsiedztwie; słyszę tupotanie łap po dachu.

Jakiś jęk... Nie, nie zdałem sobie sprawy, zamyślony. Tu zegar wybił pół do trzeciej. Ot, jeszcze jeden, teraz z katedralnej wieży. Chciałbym przepaść w tej zniebieszczonej przedemną przestrzeni; dla czego czuję się lepszym w tej chwili? Zdaje mi się, że byłbym niezdolnym do występku; nie wiem, czy zbrodniarz ośmiela się kiedy zabijać podczas księżycowej nocy; zdaje mi się, że byłbym zdolny nawet kochać znienawidzonych, nawet przebaczać...

Au faubourg de Picz — penson — la,
Digue, digue, digue—la, digue, digue don—on;
Je rencontre Madelei — e — ne,
La brigadonel — e — ne.
Je rencontre Madelon — on,
Digue, digue, don.

Jakiś pijaczyna śpiewa ochrypłym głosem; słyszę nierówne stąpanie sabotów... zatrzymało się.

J'lui dis: Lève ton jupon — la... i reszta bezecnego kupletu ginie na zakręcie. O czem

to myślałem?.. Przebaczać! Dziecinniejesz serce. Nie wszystkim, nie wszystkim. Ni tej mocy, co nas gniecie, ni tym, którym dobrze w świecie, ni tej... co to? wiersze piszę? Dobrze, że spostrzegłem w porę. Mój słowik jęknął znowu, jakby pytał kogoś, jakby się skarżył; więc i on wzdycha do księżyca, owej „westchnień wszech depozytury“? Jak też wygląda mój księżyc? Podniosłem się i wychyliłem z balkonu. Płynie a płynie po ciemno - szafirowem morzu, wciągnął w siebie prawy policzek i tak półgębkiem uśmiecha się. Niech sobie. Gdyby zważać na każdego głupca, co z nas szydzi! Usiadłem. Patrzę przed siebie. Ogromny plac, tykający bulwaru, obsadzony platanami. Patrząc bezmyślnie, nie widzi się nic; patrząc uważnie, spotyka się tysiące szczegółów. Od drzew z prawej strony pada nań szereg ukośnych cieniów. Kawałek szkła w trawie tryska światełkiem, jak świętojanek. Bliżej jakaś bezkształtna masa. Słyszę niby miarowy oddech; to pies nieboże; umiał wybrać co lepsze; zwinięty w kłębek tylko uchem czasem strzygnie, albo odetchnie głębiej. Ale połowę placu zajął jeden skomplikowany cień łuków wodociągu. Ze szczytu stworzyła się linia, przecinająca go pod kątem mniej więcej 150°, pod nią cienie dwupiętrowych łuków, tu odemnie szeroko promienne, dalej coraz to zwężające się w perspektywie. Pierwszy raz spostrzegam je tak dokładnie; widzę nawet kępkę dzikiej figi, która uczepiła się kamiennego gzymsu. Na lewo między ogrodami widne w dali góry, skaliste i nagie; w czystem powietrzu widać najdokładniej błękitnawe pokłady skalistego muru. Myślę o tem, co za niemi; to Wschód... przeleciałbym Rodan i Alpy i Dunaj i nad Wisłę bym przypadł, jak zmęczony ptak, świętą ziemię całować... Co to? Brzęk gitary i głos męzki, głęboki, przejmujący tonem. Może kochanek gdzieś pod balkonem damie swojej się zaleca. O tej porze? Na serenadę za późno, na aubadę za wcześnie. Teraz szybkie dźwięki sieczonych nerwowo strun mandoliny i śmiech kobiecy ostry, przykry — a zaraz za nim drugi tęskny i łagodny.

Connais — tu le pays
Ou fleurit l'oranger?..

Śliczny śpiew Mignony; kobieta śpiewa— zegar począł bić trzecią — mężczyzna wtóruje; idą ku mnie dźwięki, jakby wiatrem niesione. Zegary biją ze wszystkich stron, echa dzwonów przykrywają się, nie rozwiawszy; czarująca harmonia te dzwony, te brzęki i ten śpiew. Pieśń rośnie teraz, inne głosy kończą chórem:

C'est là, ou je voudrais vivre!..

i coraz namiętniej: *C'est là, c'est là...* urwał nagle; bo wstałem i wychyliłem się, chcąc obaczyć. Śpiewacy byli tuż blizko: dwie kobiety — poznałem śpiewaczki z kawiarni— z niemi mężczyzn kilku. Znowu ten śmiech nieznośny. A przecież przed chwilą śpiew w ustach tych samych kobiet brzmiał czysty i rzewny. Wyszlachetniały na chwilę pod wpływem muzyki. Tak, najbardziej zepsuta kobieta ma częste chwile, kiedy szlachetnieje, tylko nam ich podpatrzeć nie da, wstydząc się. Ręczę, że i te zapomniały na moment, kim są. Gdzie spędziły noc? Szły od strony, gdzie łąki. Spostrzegły mię, chichocą; jeden z mężczyzn rzuca się w pozyturę i śpiewa mi z komicznem przejęciem serenadę Mefista. Śmiejemy się; na zaczepkę i żart odpowiadam żartem. Potężny głos basowy, jeden z tych rodzimo południowych bije szerokiemi wibracyami o arkady. Skoro doszedł do szatańskiego *ha, ha, ha, ha*, reszta powtórzyła je jak echo i z tym piekielnym chichotem odeszli. Pies zaskomlił gdzieś, przerażony, gołąb zagruchał trwożliwie. Wracam i myślę: ile życia tętni w każdej nocy, którego my nie spostrzegamy uśpieni; nie wsłuchiwał się w nią, kto ją zwie cichą. Czy to w stolicy, czy śród pustych pól dudni ustawicznie w warsztacie natury, tylko jeden tego nie słucha, a drugi nie słyszy. Ot i teraz w jaworze słychać pierwsze ranne szumy. Powiał wiatr i przyniósł do mnie zapach jakiś. Róży? Nie. Kapryfolii; widzę ją stąd, pnącą się po murze. Od bulwaru zbliżają się kroki. Zatrzymały się i w tejże chwili światło pierwszej latarni zagasło. Nie, innego wyrażenia użyć trzeba: podziało się. Patrząc zblizka, spostrzega się przynajmniej skurczenie płomienia przed zniknięciem — tutaj nie. Tak wyobrażam sobie przejście w nicość. Człowiek ruszył dalej, teraz zgasił już latarnię drugą. Liczę kroki i przy dwunastym czekam kolejnego zniknięcia płomyków. Tak wyobrażam sobie fatalność.

Teraz zaczynają dochodzić mego ucha coraz częstsze odgłosy. Koguty pieją zapamiętale. Na wschodzie niebo blednie, żółcieje w oczach; za migającymi liśćmi widne jasne tło horyzontu. Przechodzą pierwsze wózki z jarzynami; spojrzę na plac — cienie poznikały, spojrzę, wychyliwszy się, na księżyc — zszedł nisko a zbielał jak opłatek. Usiadłem i poddaję się z lubością temu objawieniu dnia; uczucie dziwne, bo czujesz rozjaśnianie się powietrza, a nie dojrzysz; spostrzeżesz jednak to przejście cieni w światło, utkwiwszy wzrok na jakimś przedmiocie. Dzień rośnie tak szybko, że zmianę barwy spostrzegasz wyraźnie. Raz, dwa, trzy, cztery. Cztery uderzenia zegaru w długich odstępach. Wiedziałem, że musi wybić cztery, że się w rytmie nie zatrzyma. Jaki rozruch powstałby w umyśle, gdyby rachunek zawiódł? Byłby to cios na cały aparat myślenia. Więc brak wrażenia może wywołać w mózgu gwałtowniejsze ruchy, niż jego obecność?.. Bardzo dowcipny przyrząd. Myślę, że nie obaczę z okna mego wschodu słońca; zasłoni mi go gęstwia drzew; pójdę dokończyć niedospanej drzemki...

Dziś rano pobiegłem do leżącej na ziemi karty papieru, a podniósłszy, zdziwiłem się naprzód literom dużym, kreślonym pod wpływem mroku, potem zaś dokładności opisu tego szmatu ulicy, który leży przede mną. W ześrodkowaniu uwagi nie zginął tam jeden szczegół. I pomyślałem: nie byłżeby to jedyny wiarogodny sposób traktowania krajobrazu? Ten kąt przedmieścia, te dwie godziny nocy, w której na pozór nic ciekawego nie zaszło, zamieniły się w powieść całą. Istnieje w malarstwie szkoła gołego nieba, czemużby zbyteczna była w literaturze? Patrzeć i notować bezpośrednio, nie zaś odtwarzać z pamięci. Różnica w wynikach powinnaby okazać się olbrzymia. Pamięć odtworzy obraz, ale niepodobna, ażeby nic zagubiła niejednego, lub nie sfałszowała. Mickiewicz pisał sonety krymskie, kładąc się po górach, spoglądając i malując — wierszami, dlatego szczegół i bezpośrednia refleksya dodaje im tyle żywotności, tyle rzeczywistego kolorytu. Żadna tam barwa nie jest wymarzona, żaden ruch domyślny. A tylko nieznana zwykłym ludziom pamięć reprodukcyjna zdolna była wielkiej epopei pisanej na „paryskim bruku“ nadać taką swojską barwę. Brak bezpośredniego sprawdzenia spostrzeżeń zaciera tam przecież niekiedy prawdę retoryczną formułką. Mówiąc np. o polach:

„...malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, *posrebrzanych* żytem,

poeta nie zdaje sobie sprawy z właściwej barwy ostatniego, która nigdy do srebrnej się nie zbliża. Istnieją w stylu naszym pewne, przejęte nieszczęśnie ze Słowackiego terminy, których najtrzeźwiejszy pisarz uchronić się nie zdoła. Złoto, brylanty, szmaragdy, karmazyny, opale kapią z pióra jak z królowej Saby. Jeszcze u Konopnickiej czyta się. „Na skale szczepił *róż* dziwnych *błękity*,“ albo „być z tych, co poją rosą tęsknoty znów *błękitne róże*“ (Imagina). Nie wiem, czy takie róże nawet przyśnić można. A gdzieindziej: „lutnia drżąca, po której biegnie zapału *pieśń złota*,“ lub „*Głos srebrny*, jako te majowe deszcze“ (tamże). Wyrażę nieśmiałą myśl, że trzeba będzie komuś ważyć się już raz na rewolucyę, która nam styl wyczyści; u francuzów podobno już „pieśni złotej“ nigdzie się nie spotka, chyba u wyśmianych symbolistów; zastępuje te poetyckie obrazy inna realistyczna formuła, posiłkująca się bardzo delikatnem poczuciem barw, tonów, kształtów i ruchów. Stworzył ją Flaubert; musiał on chyba, jak mnie przyszła fantazya dziś w nocy, notować wrażenia swoje na świeżo i stąd [illegible]idzi fałdy sukni na kobiecie, która się [illegible]uyla i opowiada, jak się układały; stąd to słyszy rzechot bransoletki na gołem ramieniu tancerki, spostrzega przełamanie się pantofelka włożonego niedbale na stopę. Co do mnie, gdyby umiano tak grać i malować, jak się umie czytać, oddawałbym w opisie barwy barwami, tony tonami, a kształty rysunkiem; proszę zważyć tylko, jaką w ostatnim punkcie ogromną usługę oddaje literaturze ilustracya. Niepodobna np. do śmierci zapomnieć figury Don-Kiszota, kto go widział w rysunku Dorego; niepodobna czytać „Trzech Budrysów“ Mickiewicza, aby nie brzmiała w uszach równocześnie muzyka Moniuszki. A jak Nodier, opisując w powieści zstępowanie ze schodów, układał wyrazy

w ten
dziwaczny
sposób i tak drukować je kazał, tak obaczymy może wnet książki, pełne różnobarwnych kleksów, oraz kruczków nad i pod liniami — które polecę sprawozdawcom balów i koncertów.

Egrot.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

N. W. Tagblatt o uroczystości otwarcia nowego gmachu uniwersyteckiego w Krakowie. — Czy to nie prawda? — Ilustracya. — Nie wchodząc w słuszność zarzutów.— Murzyn, który spełnił swą powinność.— Przymówka *Kroniki rodzinnej*. — Bezimienni pracownicy.— Płatnerze pruskiej administracyi i sądów.— Heine w towarzystwie błaznów Salomońskiego. — Potrzeba prawdy.

Uroczystość otwarcia nowego gmachu uniwersyteckiego w Krakowie tak dalece przybrała charakter religijno-arystokratyczny, jak gdyby wszechnica jagiellońska miała jeden tylko wydział — teologiczny i przedstawiała kaplicę obozową jednego pułku — stańczyków. Poniekąd tak jest. *Gazeta polska* bardzo obraziła się na autora artykułu w *N. W. Tagblacie*, który utrzymuje, że wszechnica ta jest „ogniskiem szlachetczyzny i arystokracyi,“ w którem skupiają się żywioły zachowawcze, tłumiące wszelki swobodniejszy poryw myśli demokratycznych odcieni. Profesorowie składają sztab jeneralny obozu stańczyków, stanowią komitet agitacyjny i kontrolujący swego stronnictwa, a przybytek wiedzy i nauki jest siedliskiem agitacyi politycznej. Tak twierdzi *W. Tagblatt* i o to gniewa się *Gazeta polska* na bezimiennego „polaka-liberała,“ który miał gazecie niemieckiej dostarczyć owych spostrzeżeń. Zaiste nie wiem, czemu pismo, które we wszystkich sprawach i wypadkach starannie strzeże swego rodzaju... nijakiego, w tym razie przybiera kolor prasy stańczykowskiej i wyręcza ją w oburzeniu? Bo czyż to nieprawda, że uniwersytet krakowski jest owczarnią stańczykowską, że nie przepuszcza do swego wnętrza pierwiastków wolnomyślnych, że więcej ceni wyznanie polityczno-społeczne, niż naukę, że podesłał się pod nogi jednemu stronnictwu? Czyż to nieprawda, że najznakomitszy uczony nie wejdzie nigdy jako

kapłan do tej świątyni, jeżeli tylko ciąży na nim najlżeszy cień nieprawomyślności? Do jakiego stopnia klika tam waży — posłuchajcie. Na pewną katedrę powołano kiedyś od nas pewnego nienajzdolniejszego między możliwymi kandydatami, ale odgadnięto w nim giętkość. Jakoż człowiek ten, który w Warszawie nie myślał wcale o zbawieniu duszy, po przybyciu do Krakowa zaczął wytrwale uczęszczać na nabożeństwa majowe. Była to obłuda, ale obłuda konieczna zwłaszcza przy pierwszych krokach. Gdy więc „profesor“ zasłuży się stańczykom na innem polu (gdy np. rzuci się w agitacyę przeciwko niepożądanemu dla nich posłowi sejmowemu itp), będzie mógł chodzić do kościoła tylko w niedzielę lub raz na miesiąc, ale świeżo zwerbowany musi być gorliwszym od innych. Wątpię, czy istnieje na świecie drugi uniwersytet, któryby równie był owładniętym przez jedną partyę i równie niedostępnym dla wiedzy niepodległej. Co powiedziano w *N. W. Tagblacie*, to jest słabem odbiciem rzeczywistości. Więc skąd płynie boleść warszawskiej nieprzyjaciołki antisemityzmu, który nawet we wszechnicy jagielońskiej bije pełnym strumieniem? „*Nie wchodząc w słuszność* powyżej czynionych zarzutów — mówi *Gazeta polska* — dziwimy się tylko polakowi, który w niemieckich pismach i w taki sposób szuka ujścia dla swych poglądów.“ Przedewszystkiem czemu: „nie wchodząc w słuszność zarzutów“? Czy one tak są małoważne, że nie warto nad nimi się zastanawiać? Czy jedyny (całkowity) uniwersytet polski jest instytucyą tak podrzędną, że gazeta polska może nie dbać o to, kto i jak w nim gospodaruje? Wspomina ona kwaśno o wystąpieniu p. W. Spasowicza, który kiedyś w *Kraju* wyrzekł, że katedry na wszechnicy jagielońskiej „bywają rozdawane jako synekury zubożałym arystokratom,“ zdobywającym sobie dyplomy „naukowemi podróżami,“ a „uczone rozprawy kompilującym z niemieckich i francuskich książek,“ zaznacza smutna, że zdanie to „potwierdziła *N. Reforma*,“ ale nie dotyka „słuszności zarzutów.“ Tymczasem albo te zarzuty są niesłuszne i w takim razie trzeba je odeprzeć, albo słuszne i stanowią bardzo ciężkie oskarżenie. Co do mnie, przyznaję im w znacznej mierze zasadność. Dobrze, ale po co swoją bieliznę prać w obcym stawie! — woła *Gazeta polska.* A jeżeli w swoich wyprać jej nie można? Jeżeli oprócz paru pism niezależnych i szczerych, reszta, przykładając palce do ust, szepcze w najważniejszych sprawach: pst! Zresztą dziennik wiedeński wcale nie potrzebował aż niedyskrecyi „polaka-liberała,“ ażeby dowiedzieć się o ustroju wszechnicy jagielońskiej; stańczykowstwo i jego twierdze są w Austryi doskonale znane; byłoby więc trudem zmarnowanym wykradanie tajemnic, które na rogu każdej ulicy w afiszu przeczytać można. Mojem zdaniem, daleko lepiej służy społeczeństwu ten, kto nadużyć nie popełnia lub ich nie osłania, niż ten, kto je barwami cnoty farbuje. Względem uniwersytetu krakowskiego opinia publiczna u nas za daleko posunęła swą tolerancyę. Nie zapominajmy, że istnieje on w kraju swobodnym, że jest całkowicie samodzielnym wytworem polskim, że zwrócona przeciw niemu krytyka nie dotyczyłaby ludzi skrępowanych, bezwładnych, niemych, którzy bronić się nie mogą, że więc tu żaden wzgląd jej nie tłumi, przeciwnie, wszystkie do niej zachęcają i upoważniają.

A teraz wracając do uroczystości otwarcia nowego gmachu, zastanówmy się, czy ona by w tej formie przebiegła gdziekolwiek po za królestwem Stańczyka? Czy byłaby tylko: nabożeństwem, hrabiowskim balem i toastami dygnitarzów? Gdzie w niej podział się lud uniwersytecki — studenci? Złożyli jakąś książkę pamiatkową, jeden z nich palnął jakąś mdłą oracyę i „murzyn spełnił swą powinność — murzyn może odejść“ lub z ulicy przysłuchiwać się, jak panowie z podniesionymi kielichami wina krzyczą: vivat Gautsch! — vivat Tarnowski! — vivat Dunajewski nr. 1! — vivat Dunajewski nr. 2! Nawet na podwórzu przy oświetleniu palącej się smoły w beczkach nie zastawiono stołów dla akademickiego motłochu.

Ale nie bądźmy natrętni względem panów, nie zmuszajmy ich do ofiar na korzyść tłumu — słowem, nie naśladujmy *Kroniki rodzinnej*, bo ona posiada milion sposobów utrzymania się w ich łasce, a my — żadnego. Ośmielone swem kruchtowem stanowiskiem pismo wskoczyło na ambonę i tak rzekło z powodu chrztu córki Andrzeja hr. Zamojskiego i żony jego ks. Karoliny de Bourbon: „Gdyby przyjaciele i życzliwi na pamiątkę dnia 10 czerwca r. b. złożyli fundusz na utrzymanie jednego dziecka w Szpitalu Dziecięcym (przy ul. Aleksandrya), dar ten miły Bogu i ludziom (a zwłaszcza ludziom), zastąpiłby medal pamiątkowy, w podobnych razach zwykle używany, stałby się niejako uznaniem drogi, na którą, zgodnie z tradycyą miejscową, rodzice wprowadzają nowonarodzone dziecię.“ Śliczny projekt i gdyby był wykonywany przez tych, których niemowlęta stają się przedmiotem artykułów prasy, Szpital Dziecięcy miałby tyle łóżek, ile ich zmieścić może. Z drugiej wszakże strony trudno zaprzeczyć, że głos *Kroniki* brzmi zuchwale i tylko usprawiedliwia go jej szata na pół kapłańska. Ponieważ zaś jedynie z takich kolumn wychodzące napomnienia mogą wywrzeć jakiś skutek, więc niech szanowna, dewocyi oddana niewiasta ust w takich sprawach nie zamyka i niech przymawia, niech przymawia dostojnym. Wielcy panowie zawsze pozwalali karcić się błaznom i kaznodziejom; pierwsi dziś ukanonizowani zamilkli i stali się patronami stronnictw, drudzy muszą pracować za nich i za siebie. A więc nie: „ça ira!“, ale: „u drzwi twoich stoję, panie, czekam na twe zmiłowanie.“ Chorym i ubogim dzieciom to obojętne, która śpiewka zdobędzie dla nich nowe w szpitalu łóżeczko.

Gazeta polska może radaby odkryć „polaka-liberała,“ który napisał korespondencyę do *N. W. Tagblattu* o uniwersytecie krakowskim; mnie oddawna intrygują całkiem inni przemytnicy grzechów polskich do niemczyzny, mianowicie owi zacni polacy, studyujący literaturę polską w Poznańskiem i wyławiający z niej dla administracyi i sądów niemieckich „przestępstwa stanu.“ Nie przypuszczam bowiem, ażeby jakiś niemiec wyuczył się naszej mowy i wertował książeczki Chociszewskiego, pisma peryodyczne i wydawnictwa ludowe dla dostarczenia materyału oskarżeniom. To muszą robić nasi braciszkowie. Ale co to za jegomoście, jak się nazywają, trzebaż ich przecie za długie uszy na wierzch wydobyć i ogółowi pokazać! Doprawdy nie powinni niknąć w ukryciu ludzie, którzy pośrednio tak potężny wpływ wywierają na los prowincyj polskich w zaborze pruskim. Oni uzbrajają landratów, komisarzów policyi, prokuratorów, ministrów. Czemże byłby np. p. Puttkamer w roli archanioła, wypędzającego polaków z raju niemieckiego, gdyby mu miecza nie rozpalili i nie wyostrzyli w swych kuźniach ci bezimienni płatnerze? Nawet ks. Bismark posługuje się nieraz w walce parlamentarnej ich bronią. Sam przecie nie wyśledził, że na tej lub owej stronicy dziełka Chociszewskiego znajduje się pięć wyrazów, za które trzeba autora skazać na 5 miesięcy więzienia. To wymaga znajomości języka, szperań, badań, pracy, a wszystkie te zasługi wypadałoby odpowiednio uczcić.

Błazny z cyrku Salomońskiego obmietli podobno nas językiem. Zrobiono z tego powodu w prasie wrzawę, która odbiła się aż w Odesie i stamtąd powróciła jako zeznanie, że ci sami błazny kończyli tam swoje nazwiska na *ski* (jak p. Salomoński) i używali dowcipów — Heinego, „znanego nieprzyjaciela polaków,“ który za to miał dostać policzek. Kiedyż ten bzdurny, bezmyślny, kłamliwy frazes przestanie się tułać po kolumnach naszych pism, udających oczytanie w literaturze niemieckiej! Spółka Nakładowa ma wydać wybór pism Heinego z ustępem, objaśniającym jego stosunek do nas. Och, trzeba to zrobić co prędzej, ażeby przecie raz ten „znany nieprzyjaciel polaków“ właściwą twarz swoją ukazał. Jestem pewien, że wszyscy mu przebaczą tę „nieprzyjaźń“ — naturalnie oprócz Krapulinskich i Waszlapskich.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Ciekawe tajemnice. — Wnioski z ogłoszeń. — Pośpiech naszych pism w ogłaszaniu dobrych czynów i niedoszłych do skutku. — Dola dzierżawców. — Dowcipny pomysł p. Jankowskiego. — Mundury Tow. dobroczynności w Słucku. — Dobroczynność lubelska. — Piosnka Skowronka i uwagi jej słuchacza. — Wrogowie „wszelkich prądów.“ — Dusza chłopska w ziemi cudzej. — Bank włościański w Białej Cerkwi. — *Kaliszanin* o ludzie.

Od czasu do czasu odzywały się nieśmiałe skargi, że nasza arystokracya sprowadza niemców na oficyalistów, a swymi pomiata. Na takie „kalumnie“ odpowiadano oburzeniem i... dowodami. Jakiś jaśnie oświecony dał dożywocie zniedołężniałemu oficyaliście, oświecony wstąpił w próg chorego, pocieszył życzliwem słowem strapioną rodzinę i zapewnił, że posada na niego czeka; wielmożny, w skromnym majątku, mogąc się obyć bez pomocy, stworzył kilka posad dlatego tylko, żeby dać chleb ubogim ludziom. Takie fakty pobiły na głowę zuchwałych oskarżycieli. Naraz szydło wylazło. Ukaz o wydalaniu cudzoziemców odkrył wiele ciekawych rzeczy, których pod korzec schować nie można. Z dóbr ordynacyi hr. Zamoyskich wynieść się musi około 80 osób, przeważnie niemców, zajmujących posady dyrektorów, rządców, leśników itd. Wierzyć temu trzeba święcie, bo szczegóły powyższe podaje żarliwa obronicielka szlachty, a czcicielka mitry hrabiowskiej. Na olbrzymiej przestrzeni od Dniestru, Bohgu do Dniepru i Dźwiny lament straszliwy; zakotłował się ród Teutonów, jak robactwo oblane ukropem, a gdzie? — pod skrzydłami naszych jasnych. Okazało się, że całe kolonie w majątkach utworzone z niemców. Tam od dzierżawcy, rządcy do kucharza i parobka jedna wiara, jeden ród, owdzie straż leśna, tracze, cieśle, bednarze, stolarze itd. — to samo. Nadeszła zima — las jęczy pod toporami, stuletnie drzewa padają w tysiącach, a z ust strasznych pogromców rozbiega się wesoła mowa niemiecka. Praca mrówcza. Od drzew ściętych odpadają wierzchołki, kloce bieleją, nabierają kształtu czworokątnego. Gdzie stały dęby olbrzymie, leżą konary pokręcone, a obok stosy klepek. Na wiosnę wszystko to do swoich, *nach Vaterland*, po rzekach litewskich płynie. Obrazek poetyczny; chciałbym nie wierzyć w jego prawdziwość, ale niestety, własne me oczy oglądały go nieraz. Jeszcze przed kilku miesiącami zwróciły moją uwagę ogłoszenia w dziale poszukiwaczów pracy: „Niemiec, agronom (lub leśnik) dobrze obeznany z fachem, poszukuje posady w wielkim majątku.“ Takie ogłoszenie drugi raz się nie zjawiło. „Agronom (leśnik), *polak z chlubnemi* świadectwami długoletniej służby, poszukuje posady za *skromne* wynagrodzenie.“ Albo: „Poznańczyk, wydalony, bez żadnych środków do życia, dobrze obeznany z fachem, poszukuje jakiegobądź zajęcia.“ Tego rodzaju znowu ogłoszenia powtarzały się miesiąc lub dwa, aż wreszcie zostawiając *godła*, zmieniały tytuł tylko: „100 rubli za wyrobienie posady.“ Wiem

o takich miłosiernych, co pod wpływem szlachetnych uniesień zastąpili niemców polakami wydalonymi z Prus. Trąbiły o tem pisma brukowe głośno, z obawy, aby te fakty, słabe wskutek swej pojedynczości, nie zostały zagłuszone całymi akordami innych wypadków. Ciekawym, w jaką stronę nasi wielcy i mali „panowie“ zwrócą się teraz dla zapełnienia miejsc opróżnionych?.. Może znowu pisma z góry ich łaskawość i dobroć światu ogłoszą, jak to było o formie oddawania dzierżaw. Niedawno kilka dzienników doniosło, jakoby właściciele niektórych majątków w guberniach południowo-zachodnich zaniechali dawnego zwyczaju pobierania z góry rocznej tenuty dzierżawnej, natomiast wprowadzili nowość: czynsz *z dołu* i w stosunku do otrzymanego przez dzierżawcę czystego dochodu. Korespondent *Wieku* zaprzecza temu: „*ani jednej* takiej umowy dotąd w tamtych stronach nie zawarto.“ Istniał podobny projekt reformy dotychczasowych stosunków dzierżawnych, mówiono o nich na ostatnich kontraktach kijowskich, miała nawet odbyć się specyalna narada ziemian wołyńskich. Nikt nie może tak doskonale zrozumieć położenia pracownika na roli, jak sam rolnik. Jeśli ziemianie, mający własną strzechę nad głową i własną ziemię pod nogami uskarżają się na ciężkie czasy, nazywając swoją dolę *rozpaczliwą*, to dlaczegoż nie chcą wniknąć w położenie dzierżawców, którzy krwawo zebrany grosz z długoletniej służby pakują w cudzy grunt i nieraz dość tylko kilku tygodni niepogody w czasie niewłaściwym lub jednego gradu, aby doprowadzić ich do torby żebraczej. Panowie „miłosierni“ rozumiejąc doskonale taki stan rzeczy, stają się „niemiłosiernymi.“ Radzą tylko dużo i tem znieczulają swe sumienie. Radzić umieliśmy zawsze i dziś cieszymy się tym nabytkiem od przodków. Dość przejrzeć jeden np. numer której z „wielkich“ gazet codziennych: narady producentów wełny, narady cukrowników, narady członków Towarzystwa ogrodniczego. Bodaj że temu ostatniemu p. Jankowski wiele dobrego zrobił malutką propozycyjką: „ażeby członkowie Towarzystwa, jako oznakę, nosili butonierki z kwiatkami ze stosownym srebrnym emblematem.“ Projekt przyjęto *jednomyślnie*. Można mieć nadzieję, że sympatyczna instytucya doczeka się wkrótce podwójnej liczby członków. Bo któż nie zechce się pochwalić tak małą oznaką honorową? Od wieków chorujemy na tytuły; dawniej byli sędziowie, sędzine, sędzianki, podkomorzowie, podkomorzyne, podkomorzanki itd. Dzisiaj zmieniły się czasy; tytułów mało, a kandydatów do nich moc niezliczona. Płacić za udział np. w takiem Towarzystwie ogrodniczem i chodzić po mieście jak zwykli śmiertelnicy — nie warto. O tej słabości ludzkiej przekonała się już dawno dobroczynność w Słucku, więc wymyśliła mundury ładne dla swych członków i odtąd cieszy się wielkiem powodzeniem. Nawet podobno kilku przemysłowców warszawskich, zasłyszawszy o takich pięknych rzeczach w mieście słynącem niegdyś z pasów złotolitych, zapisało się do tamtejszej instytucyi. P. Jankowski, znany ze swych zasług dla ogrodnictwa, znalazł się bardzo dowcipnie. Jabym radził wprowadzić jeszcze jeden środek: zalegającym w opłatach rat odbierać godła aż do chwili uiszczenia się z długu. Nie będzie wtedy uskarżania się na brak funduszów i trudności urzeczywistniania pięknych planów.

Dobroczynność lubelska stoi znacznie niżej od słuckiej pod względem pomyślności i powodzenia. Na ostatnie „ogólne“ zebranie z 503 członków przybyło dwudziestu jeden, w tej liczbie, jak utrzymuje dziennik miejscowy, byli *zaproszeni* przez zarząd, który poruszył wszelkie możliwe środki ściągnięcia jaknajwiększej liczby uczestników. W tym celu rozlepił po rogach ulic ogłoszenia, umieścił w gazecie zawiadomienie. Jedna droga nie przyszła na myśl; należało obwieścić: „w dniu N. będzie dana uczta na 503 osób - - wejście dla członków towarzystwa bezpłatne.“ Lublinian rzadko co porusza do czynów obywatelskich. Tylko przemówienie do młodzieży księdza Skowronka ma podobno na wieki pozostać w sercach uczniów, opuszczających miejscową szkołę techniczną. „Początek mądrości jest bojaźń Pańska.“ Taki był tekst kazania. Rozwijał go ks. Skowronek w długiej i starej piosnce, że „mądrość ludzka bez bojaźni bożej poczęta, nie ożywiona iskrą nadprzyrodzonego światła, to jest objawienia, nie owiana tchnieniem *pokory* i poświęcenia, pozostanie zawsze jałową, martwą, bezowocną, pierwiastkiem jej będzie pycha, wynikiem — przesyt, negacya, nicość.“ Sprawozdawca *Gazety lubelskiej*, pełen zachwytu, woła, iż nie można było przemówić lepiej do młodzieży „tak obałamuconej dzisiaj mnóstwem postępowych idei, tak partej różnorodnymi prądami, tak lgnącej do *łatwej, lekkiej* nauki, która karmi swych adeptów *ponętną trucizną*.“ Boże miłosierny, co ten postęp wyrabia! Gdyby sprawozdawca z mowy księżowskiej zobaczył tego potwora choćby z daleka, umarłby ze strachu. Tacy wrogowie „wszelkich prądów“ lubią mówić o zagadnieniach sobie nieznanych mniej więcej na takich podstawach: Czyś pan czytał tę książkę? — Nie, ale mego brata przyjaciel słyszał, jak ją czytano.

Z podobnem przygotowaniem korespondent *Gazety warszawskiej* z Wilna rozstrzyga przyczyny zatargów włościan z dworami: „Pokątne doradztwo występuje nietylko w widokach osobistych korzyści przez wyzyskiwanie ciemnego tłumu, ale się dostrzega czasami i „solidarność wpływów“ (?!) obliczona na wywołanie żądz sięgających coraz to dalej, wiążąc się z intencyami programowemi gry „ciemnej i zagadkowej.“ Chaos i powikłanie są jego podstawą“ (zdaje się, że i podstawą rozumowania korespondenta). Objektywne szczegóły z tej korespondencyi warte są zaznaczenia. W dobrach Hermanowiczach (Szyrynów w Dziśnieńskiem) włościanie „przywłaszczyli“ sobie 500 dziesięcin łąk dworskich i pola, oraz 300 dzies. lasu, razem około 1,600 morgów nowopolskich. Sprawa ciągnęła się długo. Zjeżdżały wszystkie władze powiatowe, delegowani gubernialni, zawsze bez skutku. Przeciw każdemu żądaniu zwrotu ziemi dworowi, włościanie tłumnie i jednozgodnie protestowali, pomimo prawomocnych wyroków. Nareszcie przybył gubernator z Wilna i to nie pomogło. Lud uległ pod wpływem siły wojskowej. Dwór odebrał, o co tak walczył zawzięcie, a najoporniejszych odstawiono do Dzisny. Musiała być tym „buntownikom“ bardzo potrzebna ziemia, skoro uczepili się jej tak mocno, że aż siłą zbrojną ich odrywano. Zuchwalsi może i swej własnej więcej nie zobaczą. Takie „załatwienie“ sprawy nie podoba się korespondentowi *Gaz. warsz.*, chciałby on jeszcze coś lepszego, np. stłumienie „gry ciemnej i zagadkowej.“ Za wiele na raz; czyż dwór w tym wypadku nie okazał jeszcze swej żywotności? Szlachta zwykle upatruje źródło „drażliwych“ spraw między nią a ludem w podszczuwaniach pokątnych doradców. Dla czego tacy się nie znajdą dla doradzania głodnemu jeść?

Lepiej sprawy ludu przedstawiają się w niektórych miejscowościach Ukrainy. *Kijowskie Słowo* podaje sprawozdanie z rozwoju i działalności Banku włościańskiego hr. A. Branickiej w Białej-Cerkwi. Instytucya ta żyje od lat sześciu. W r. 1838 założycielka zapisała milion rubli w celu poprawienia dobrobytu włościan w jej majątkach (te były olbrzymie prawie we wszystkich powiatach gub kijowskiej). W r. 1861 spadkobiercy wnieśli legowany kapitał do Banku państwa i rozpoczęli starania o pozwolenie utworzenia banku wiejskiego imienia hr. A. Branickiej. Projekt ustawy głosił, że fundusz pozostanie zawsze nienaruszalnym, a procenty, jakie narosły od r. 1861 do 1875, stanowić będą kapitał zakładowy. Odsetki, które ów nienaruszalny kapitał przynosi od chwili założenia banku, w jednej połowie przeznaczone zostały na tworzenie kas zaliczkowo-wkładowych (oszczędnościowych), w drugiej — na zakładanie i utrzymanie szkół wiejskich. Ustawę zatwierdzono w r. 1875, lecz z rozmaitych powodów bank rozpoczął czynności dopiero w r. 1880. Kapitał utworzony z procentów przeznaczonych na kasy i szkoły wskutek tego opóźnienia wzrósł do 90,000 rs. Postanowiono więc użyć go na założenie trzech szkół rzemieślniczych: w Białej-Cerkwi, Bogusławiu i Stawiszczach. Z początku operacye prowadzono z wielką oszczędnością, mimo to zaraz w pierwszym roku na każdą włość przypadło przeciętnie pożyczek na sumę 1,079 rs. 64 kop. W r. 1882 bank rozszerzył działalność do wydawania pożyczek na narzędzia rolnicze. W tymże roku znaczna liczba działków ziemi, zastawionych przez włościan u lichwiarzy, wykupioną została za pożyczone z banku pieniądze. Z 227 dłużników w okresie sprawozdawczym *tylko dwóch* uchyliło się (czy nie mogło) od płacenia rat. Operacye rozwijały się wciąż bardzo pomyślnie. Najpewniejszemi okazały się pożyczki wydawane na narzędzia rolnicze. Wypłacalność dłużników pozostawała w prostym stosunku do stanu urodzajów, tak, że nawet odpisane na straty sumy z lat poprzednich raczej za pożyczki z nieokreślonym terminem, aniżeli za zupełnie przepadłe uważać należy. W 1886 r. 29 wsi otrzymało 893 pożyczek poręczonych na sumę 29,638 rs. 29 kop., a na kupno maszyn i narzędzi rolniczych wydano 52 pożyczki na 980 rs. Bank pobiera 6%. Rada tej instytucyi stara się o pewne zmiany w ustawie, które dadzą możność szerszego rozwinięcia działalności. W projekcie jest wydawanie pożyczek na domy włościańskie. Sześcioletnia czynność banku znacznie poprawiła stan gospodarstw ludu w całej okolicy, a w zeszłym nieurodzajnym roku wiele rodzin uchroniła od niechybnej ruiny.

Sprawy ludu zaczynają zwracać uwagę i prasy prowincyonalnej, zajmującej grunt przeważnie szlachecko-mieszczański. *Kaliszanin* prześcignął wszystkie inne, otwierając stałą rubrykę „O ludzie wiejskim.“ Kiedy pismo to podało czytelnikom swoim kwestyonaryusz według broszury p. Zawilińskiego, pomyślałem: zmarnowana próba! Dziś z przyjemnością przekonywam się, że tak nie jest. W kilku już numerach umieszczono opis wsi Mikorzyna. Szczegóły nadzwyczaj ciekawe, jako owoc bezpośrednich obserwacyj. Jest naturalnie wiele braków i naiwnych spostrzeżeń, lecz wogóle materyał pożyteczny. Kto pospieszył z wykonaniem prośby *Kaliszanina*? — kobieta! Dawniej także w tem piśmie obszerne artykuły o ludzie przez jedną z płci „słabszej“ były pisane. Od mężczyzn kaliskich, zajętych *ważniejszemi sprawami*, nie spodziewajmy się tego.

Drogomir.

POD MIKROSKOPEM.

I.

„Warszawa ma świeżą prymkę, którą od dwu tygodni żuje. Skutkiem waśni między wydawcami, *Kuryer warszawski* został przez nich wystawiony na licytacyę. Pierwotnie miał nabyć go z rodziną po Szymanowskim p. L. Krasiński, obecnie wszedł do spółki p. Lewental, wydawca *Kłosów*. Kupiono za 170,000 rs. Ponieważ przytem w splotach i rozplotach syczały najprzeróżniejsze węże zawiści, intryg, plotek, posądzeń, więc Warszawa nie wyjmowała sobie z ust tej ostrej a soczystej prymki.“

I to ma być *Weltstadt?* — pomyślałem, przeczytawszy powyższy ustęp w liście mojej szano-

wnej przyjaciółki, która mi co tydzień przysyłała do wiejskiego ustronia wiązkę zieleniny stołecznej.

„Większość współpracowników *Kuryera warszawskiego* opuściła dawne gniazdo i usłała sobie nowe w *Codziennym*, nabytym przez pp. Gebethnera i Wolfa. Warszawa śledzi z natężeniem, czy za szczurołapami wyjdą ze starego budynku szczury.“

Tyle ludzi — właściwie *tout le monde* — bawi się tym wypadkiem, czemuż bym ja miał go dla siebie zmarnować? Zanosi się na sport. Czytałem gdzieś, że ludzie znudzeni urządzają w pokoju lub ogrodzie wyścigi raków i żółwiów; otóż ja sobie urządzę wyścig *Kuryerów*. Tania przyjemność — i cała będzie mnie kosztowała 1 rs. 75 k. na miesiąc. Sąsiadów zaprosiłem do totalizatora. „Obstawili“ daleko liczniej *Codziennego*. Na nim — mówili — jeździ Prus!

Ruszyły i... biegną. *Warszawski*, dotąd niepokonany na wszystkich torach dziennikarskich, odsadził się daleko, ale i *Codzienny* zbiera nogi, tuż za nim. Który zwycięży?

Jestto kwestya ciekawa i ważna tylko dla tych, co moralnie lub materyalnie uczestniczą w totalizatorze. Dla mnie...

Otwieram *Olivera Twista* i czytam: „Zdejmijmy biskupowi ornat, sędziemu — perukę, zakrystyanowi — trójkątny kapelusz, czemże będą? Ludźmi — tylko ludźmi. Godność, a często świętość bardziej zależą od sukni i kaftana, niż wielu przypuszcza.“ Otóż zdaje mi się, że gdy kapłanowi opinii zdjęto papierowy ornat *Kuryera warszawskiego*, wyszyty suto ogłoszeniami i chciwie oglądany, zostali oni zwykłymi ludźmi. Jeżeli to widzą, są zapewnie smutni, bo nie sądzili, że ich znaczenie literackie spoczywało w sukni i kaftanie. Inni włożyli uroczyste szaty i wyglądają tak samo.

Prasa tedy nasza w starości doczekała się bliźniąt tak do siebie podobnych, że gdyby nie odmienny papier, gdyby nie różnobarwne wstążeczki zawieszone na nóżkach, można by jedno dziecię wziąć za drugie, *Codzienny* za *Warszawski*: ten sam układ, te same czcionki w tytułach, te same wykrzykniki.

Ktoś rzekł, że gdyby ludzie wynieśli na targ swoje rozumy, każdy z nas odkupiłby własny. Współwłaściciele *Kuryera warszawskiego* w szacunku 170,000 rs. sprzedali swoje prawa do... drukarni, tytułu pisma, biurek i stołków, ale rozum, ten rozum, który stworzył: szczyty, *all right*, *probatum est Hundtrabstil* itd. zabrali z sobą do *Codziennego*. „Wszystko rozsądne już pomyślano — powiada Goethe — trzeba tylko starać się o pomyślenie raz jeszcze.“ Tak mniemała redakcya *Codziennego*, opuszczając *Warszawski* i nawet nie pokusiła się o wymyślenie czegoś nowego. Według niej już na poprzedniej wyżynie wzniósł się tak wysoko, jak tylko pozwalały mu skrzydła i płuca.

Mamy tedy ścigające się bliźnięta.

— Ale ostatecznie, który otrzyma *grand prix* łask publiczności?— pytają mnie od dziennikarskiego totalizatora.

Nie gram — wszystko mi jedno. Mógłbym się zapalić do starcia zasad, ale nie do wyścigu spekulacyj. A jak przy wszelkich wyścigach, tak i przy tym niepokoi mnie natrętna myśl:

— Co za pobudka pcha ludzi do tej walki? Kilkadziesiąt tysięcy rubli utopić w koniu, w płacie zadrukowanej bibuły, roznoszącej te same wiadomości brukowe, telegramy, wypadki i plotki, które inny przedsiębiorca ogłasza — szczególna, niepojęta namiętność! Gdyby przynajmniej jeden był wolnomyślnym, drugi zachowawcą — ale tu nie dostrzeżesz ani cienia różnicy, jak w dwu kołach o jednem promieniu. Troskliwy też czytelnik spożywa dziennie *Kuryery warszawskie* w czterech daniach.

Przepraszam jest różnica: *table d'hôte* w *Warszawskim* kosztuje półtora razy drożej — *Codzienny* jest dotąd tanią kuchnią.

Może pod tym znakiem zwycięży?

Tymczasem oba biegną...

II.

Kto nie ma funduszu na prenumerowanie obu *Kuryerów*, niech się uda o pożyczkę lub bezzwrotną zapomogę do Kasy mianowskiego. Podanie w prośbie takiej racyi wystarczy.

P. D. przyznano rs. 600 „na wyjazd za granicę dla studyów w dziedzinie pedagogiki i psychologii.“ Co to za studya? Zapewne te same, dla których członek zarządu p. Piotr Chmielowski wyjechał przed paru laty za granicę, siedział tam przez dwa lata i chociaż niezamożny od żadnej Kasy bezprocentowej pożyczki nie brał. Czyby więc p. D. (który także jest literatem) od niego — i wielu innych — nie zechciał dowiedzieć się, jak tego dokonać można, nie czerpiąc z zebranego kroplami funduszu publicznego?

Tejże rady powinien by zasięgnąć p. A. Mahrburg, współpracownik *Kraju*, któremu pożyczono rs. 600 „na wyjazd do Niemiec dla specyalnych studyów w zakresie teoryi poznawania i psychologii.“

P. Wł. N. — bezprocentową pożyczkę rs. 600 na *piąte* wydanie książki p. t. *Początki nauki języka polskiego*. Jeśli rozeszło się cztery wydania, p. Nowicki bez trudu znajdzie nakładcę na piąte. Po co tu wzywać Kasę Mianowskiego?

P. A. S. — zapomogę *1,500* rs. na wydanie przekładu *Iliady* Homera. *Iliadę* w całości lub w części przetłomaczyli: Dmochowski, Staszic, Przybylski, Popiel, Balzer, Stankiewicz — potrzebneż nam było tłomaczenie nowe — nam, którzy nie mamy przekładu dzieł pomnikowych? Ale trudno, filolog-emeryt, wykładający w gimnazyum greczyznę, przetłomaczył sobie *Iliadę* — czy można było jej nie wydać? A jeśli za lat parę zrobi to inny emeryt? Również wydamy. Co to szkodzi? Pieniądze są — a pożyczki z rozprzedaży książek zwracają się. W r. 1886 wypłacono przecie pożyczek i zapomóg rs. *17,717* i kop. *82*, a odzyskano rs. *2,967* k. *79*. Ile przepadło „bezpowrotnie?“ Ciekawem byłoby *Verlustconto* Kasy.

Może to tylko wynik niepojętności, wyznaję jednak szczerze, że pomoc dla pp.: Łuczkiewicza w wydaniu *Historyi medycyny* (Haesera), Znatowiczowi w wydaniu *Pamiętnika fizyograficznego*, Kolbergowi itd. — wydaje mi się umiejętnem zużytkowaniem funduszu publicznego. Ale jego szafunek na różne „wyjazdy,“ przedruki, zbyteczne przekłady — powinienby płynąć węższem łożyskiem, jeżeli nie ma podmyé tej podstawy, na której instytucya spoczywa— ufność ogółu. Dotąd ofiarność obywatelska szczodrze Kasę zasila, alež to w każdym razie względnie do potrzeb kraju dźwignia słaba, więc nie należy jej sił marnować. Jeżeli zaś na samą „Bibliotekę matematyczno-fizyczną“ wypłacono dotąd rs. 11,121 k. 24, odebrano z rozsprzedaży rs 3,330, k. 49, a cały majątek Kasy wynosi rs. 102,587 k. 45— doprawdy oszczędność jest potrzebną.

Przepraszam zarząd za te komentarze, które zapewne mają słuszność w zakresie mojej składki rocznej — rs. 10. Gdybym był członkiem założycielem i wniósł jednorazowo rs. 100, prawdopodobnie miałbym światlejsze zdanie — jak mi wytłomaczono przy innej sposobności w odpowiedzi na uwagę, gdzieindziej wyrażoną. Skromność mojego stanowiska znam i wiem, że gdy się marnuje rubel, nie przepada w nim nawet cały mój grosz. Tyle stracić mogę na czyjść wyjazd, *Iliadę* lub coś podobnego i jeszcze nie przestanę mówić: „What a piece of work is man!“ i nie zacznę krzyczeć za Shakespearem: „And yet, to me, what is this quintessence of dust!“

III.

I. p. Kotłubaj powinien się zwrócić do Kasy Mianowskiego. Zaledwie bowiem z p. Strzeleckim puścił pierwszy zeszyt *Encyklopedyi rolniczej*, mężowie zaufania zeszli się w Muzeum przemysłowem i postanowili — wydać *Encyklopedyę rolniczą*. To naturalne — jak już raz wykazałem. Będą więc znowu ścigały się dwie jednorodności, a ponieważ p. Kotłubaj ze Strzeleckim niosą cięższą wagę, niż grono mężów.. Kasa Mianowskiego przy ulicy Mazowieckiej. Co do *Encyklopedyi*, z pierwszego zeszytu zapowiada się ona dobrze, tylko niepotrzebnie przechodzi właściwe granice. Co w niej robią artykuły o śmierci z uduszenia (asfixia), o kolumnie (baza) itp.? To nie rolnictwo, ani nawet przemysł. Jeżeli zaś mają w barszczu pływać aż dwa grzyby, niechże przynajmniej nie będą wielkie.

Gezyasz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Pięć odczytów o bakteryach wydał dr. Bujwid w oddzielnej broszurze. Zawiera ona: Własności, kształt, sposoby badania bakteryj, mianowicie zarazków chorobowych; Sposoby dostawania się ich do ustroju ludzkiego i zwierzęcego, oraz środki usuwania i zapobiegania; Uwagi o opatrunkach i dezinfekcyi; Szczepienia ochronne i teoryę wyjaśniającą ich działanie, oraz zastosowanie przy szczepieniu wścieklizny. W treściwym i jasnym wykładzie autor przedstawił wszystkie ważniejsze zagadnienia i wyniki badań bakteryologicznych, a przez to dał sposobność ogółowi ukształconemu poznania tak ciekawej dziedziny.

Nowoje Wremia donosi, że jeden z profesorów uniwersytetu petersburskiego przygotował projekt, według którego ma być ustanowioną bardzo wysoka skala dla wszystkich, pragnących otrzymać wykształcenie uniwersyteckie, pod względem zamożności i pochodzenia. Autor sądzi, że do uniwersytetów powinni być dopuszczani tylko synowie szlachty dziedzicznej i kupców 1-ej gildyi. Projekt ten złożono już podobno do oceny ministeryum oświecenia.

Szkoły. Dnia 23 maja r. b. Rada państwa roztrząsała projekt nowej ustawy szkół realnych i przemysłowych. Chce on mieć czworakiego typu szkoły zawodowe: rzemieślnicze do kształcenia czeladników i robotników fabrycznych, niższe techniczne do kształcenia majstrów, pięcioklasowe realne, tudzież średnie techniczne do kształcenia techników drugorzędnych, tj. pomocników inżenierów itd. Kończący szkołę realną pięcioklasową nie miałby prawa wstępować do wyższych zakładów technicznych, nie przeszedłszy średniej technicznej, gdy tymczasem dotychczasowe realne dawały to prawo. Obok tego projekt p. Delianowa pragnie utrzymać poprzednie prawo, że ukończenie gimnazyum filologicznego otwiera wstęp do wyższych zakładów technicznych. Znaczna większość (34 przeciwko 8) członków Rady państwa oświadczyła się przeciwko wynoszeniu nad inne szkół filologicznych i domagała się zmiany projektu w ten sposób, żeby realne nawet po reformie dawały wstęp do wyższych zakładów technicznych. Opinia wszakże większości nie uzyskała zatwierdzenia i projekt zwrócono p. ministrowi oświaty do dokonania pewnych poprawek.

W państwie rosyjskiem istnieje wiele towarzystw zagranicznych, nieupoważnionych do działania. Skutkiem tego ministeryum skarbu wydało polecenie, ażeby izby skarbowe nie dawały im nadal patentów i jakichbądź upoważnień. Jednocześnie polecono zastosować ściśle przepisy prawa, zabraniające towarzystwom zagranicznym działać w Rosyi, jeżeli ustawy ich nie uzyskały zatwierdzenia rządu tutejszego, tudzież rozkazano pilnie baczyć, żeby one nie nabywały na własność lub użytkowanie wszelkich nieruchomości.

Sprawy robotnicze. Wkrótce we wszystkich miastach gubernialnych będą utworzone wyższe komisye specyalne, do których fabrykanci i robotnicy będą mogli apelować od postanowień inspektorów fabrycznych. Komisyom tym przewodniczyć mają z urzędu gubernatorowie, w skład wejdą przedstawiciele urzędu prokuratorskiego, władz sanitarnych, ministeryum dóbr państwa, zarządów miejskich i ziemstw. Od wyroków komisyi interesowane osoby będą mogły odwoływać się do ministeryum skarbu, które w porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych ostatecznie spory rozstrzygnie. Komisye obok rozpatrywania skarg na postępowanie inspektorów fabrycznych, mają prawo występować z inicyatywą we wszelkich wypadkach, gdzie uczestnictwo rządowe może być pożyteczne, np. w określaniu stosunków między fabrykantami i robotnikami.

W Moskwie i okolicach od miesiąca panują susze i upały dochodzące do 34° Reaumura.

Zarząd kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej wyznaczył na noworoczną gratyfikacyę dla urzędników i służby fundusz, z którego po potrąceniu sumy już wydanej

na nadzwyczajne wsparcia i zapomogi pozostaje jeszcze do podziału przeszło 125,000 rs.

Rewizya. Inspektor okręgu warszawskiego zwiedził świeżo około 60 fabryk w gub. płockiej, lubelskiej, radomskiej, kieleckiej i niektórych powiatach warszawskiej i piotrkowskiej. W Tomaszowie Rawskim wykrył ponowne wypadki przekraczania przepisów o pracy nieletnich w fabryce pruskiego poddanego Pawła Knothego i ponownie pociągnął go do odpowiedzialności sądowej.

W Nowej Aleksandryi (Puławach) panuje uparcie ospa naturalna, koklusz i tyfus.

Na Kaukazie w pow. Zuczdydzkim odkryto ogromne pokłady węgla kamiennego w dobrym gatunku.

W Suchedniowie powstała nowa odlewnia i emaliernia garnków żelaznych, prowadzona przez krajowców.

Spółka ziemiańska. Projekt wywożenia wieprzowiny za granicę nabrał szerszego znaczenia. W Warszawie odbyły się w tym przedmiocie narady kilku ziemian. Działalność spółki obejmie całe Królestwo. Oprócz wędlin wywóz obejmie wołowinę surową w odpowiednich wagonach kolejowych, drób, jaja, sery, słowem wszelkie produkty i przeroby zwierzęce. Kilka dużych firm zagranicznych nadesłało już propozycyę wejścia w stały stosunek handlowy z zamierzoną spółką, obowiązując się do półmilionowych zakupów rocznie. Różnica cen na rynkach zagranicznych i naszych tak jest znaczna, że po odtrąceniu wszelkich kosztów przewozu zysk może być bardzo pokaźny. Uchwalono nadać spółce formę firmowo-komandytową, tj. z odpowiedzialnością majątkową tylko wspólników jawnych, którzy kierować będą całem przedsiębiorstwem z pensyą roczną. Kapitał zakładowy wynosić ma 18,000 rs., oparty na udziałach 100-rublowych, z których ³/₄ wypłacić trzeba przy podpisaniu aktu, a ¹/₄ w ciągu roku. Z czasem kapitał zakładowy powiększy się do 140 tysięcy. Siedlisko główne w Warszawie, w miarę zaś potrzeby otwierane będą filie w różnych okolicach kraju.

„Kwiaty,“ tygodnik literacki ilustrowany od października zacznie wychodzić we Lwowie pod redakcyą Józefa Rogosza, nakładem „Księgarni polskiej.“

Gwałtowne trzęsienie ziemi dało się uczuć w Hau w Tyrolu. Szafy, krzesła i stoły zachwiały się. Wstrząśnienie faliste trwało trzy sekundy. Dało się uczuć w Insbruku.

O katastrofie w Wiernej nadchodzą nowe szczegóły. Dotychczas liczba zabitych skutkiem trzęsienia wynosi do 800 ludzi. Może to tylko cząstka mała zasypanych. Ocaleni — bez dachu i chleba. Żywność w bardzo małej ilości można dostarczać, gdyż drogi pozapadały się, przytem przestrzenie niezaludnione olbrzymie. Głód niechybny.

Elektryczność w teatrach. Władze miejskie Lyonu, Madrytu i Brukseli rozesłały do właścicieli teatrów miejscowych okólnik, mocą którego zaprowadzone ma być w przeciągu 5—6 miesięcy we wszystkich teatrach oświetlenie elektryczne.

Herbert Spencer, mieszkający od roku w Brighton, zajęty jest pisaniem autobiografii. Stan zdrowia znakomitego myśliciela niebezpieczny.

Odesskij Wiestnik pisze: „Do wiadomości ministeryum wychowania publicznego doszło, że w pewnych zakładach naukowych panuje zwyczaj w dziennikach, świadectwach, biletach i atestatach opuszczać przy nazwiskach wychowańców tytuły księcia, hrabiego i barona. Znajdując, że zakłady naukowe nie mają prawa nie uznawać przysługujących uczniom tytułów rodowych i wygładzać z pamięci uczniów zasługi przodków, które powinny im być wzorem i moralnym ideałem życia, p. minister wychowania publicznego polecił kuratorowi okręgu naukowego w Odesie wydać rozporządzenie, ażeby rzeczony zwyczaj nie był nadal praktykowany.“

Katedra geografii, pierwsza w Rosyi, z nowym rokiem szkolnym ma być otwarta w uniwersytecie petersburskim.

Birżewyja Wiedomosti piszą: „Na odbytem d. 11 b. m. ogólnem zebraniu akcyonaryuszów drogi Nadwiślańskiej wybrani znów zostali występujący członkowie zarządu: pp. Stanisław Kronenberg i hr. Zamoyski, a na kandydatów na członków zarządu pp. Henryk Halpert i Daragan, jako przedstawiciele grupy akcyonaryuszów banku rosyjskiego dla handlu zewnętrznego. Ponieważ p. Kronenberg z powodu choroby od kilku miesięcy nie może się zajmować sprawami kolei, a hr. Zamoyski prawie ciągle przebywa w Paryżu, pp. Halpert i Daragan d. 14 czerwca rozpoczęli pełnić obowiązki dyrektorów zarządu i w ten sposób oczekiwania z racyi odmiennego ugrupowania się akcyonaryuszów, zmiana w zarządzie drogi Nadwiślańskiej przyszła do skutku *de facto*.“

Straszny cyklon szalał z 25 na 26 z. m. nad zatoką Kalkuty. Parowiec „Sir John Lawrance,“ wiozący na pokładzie 750 krajowców, tudzież kilka innych okrętów zatonęło z całą załogą. Na wybrzeżu orkan zrządził ogromne spustoszenia.

Na Kurpiach ilość warsztatów tokarskich, zajętych wyrobem drobiazgów z masy perłowej, wynosi 115.

Jedwabnictwo. W Bogucinie pod Sielcami bardzo pomyślnie rozwija się zakład jedwabniczy p. Boguckiego. Obecnie odbywa się tam hodowla jedwabników i wykłady, na które uczęszczają uczniowie i uczenice Muzeum pszczelnigzego.

Zmarli. Ludwika Niezabitowska, we Lwowie. Szczególną opieką otaczała włościan, żadnemu nie odmówiła pomocy. Z lasu w jej majątku mógł korzystać każdy biedak, gdy szło o pobudowanie chaty lub innych budynków gospodarskich. Zmarła cały swój majątek ogromny, prócz legatów dla rodziny, zapisała na cele dobroczynne.

— Jerzy Sigl, w Wiedniu, założyciel pierwszej fabryki lokomotyw i pras drukarskich w Austryi.

— Ludwik Gras, w Kazaniu, doktor medycyny. Ur. 1800 r. na Pińszczyźnie. Nie pozostawił po zgonie nic, prócz jednej biblioteki, którą ofiarował Tow. lekarskiemu w Wilnie.

— Jan Pasternacki w Warszawie, lekarz specyalista chorób nerwowych. Przed kilku laty doktoryzował się w tutejszym uniwersytecie i jako prywat-docent wykładał choroby nerwowe. Kilka prac umieścił w *Pamiętniku Tow. lekarskiego*.

Na wyścigach. *Dama* (znana z pobożności): „Proszę pana, co tu robi ksiądz?“

Lekarz (znany z dowcipu): „Pani nie wie? Dziś ściga się *Kordecki* (koń Grabowskiego).“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wł. Krz. Autor słusznie przez Pana cenionych listów „Z zachodu“ nie wyraził nam dotąd chęci odsłonięcia swego pseudonymu, więc nawet sympatycznej ciekawości pańskiej na tem miejscu zadowolić nie możemy.

P. Al. Pawł. List Wasz przesłaliśmy p. Korz., który nań nie odpowiedział.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek kwartalny: **Społeczeństwa zwierzęce** Espinasa.

Ogłoszenia.

— **Zarząd Oddziału Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu** otrzymał wiadomość, iż w d. 22 maja r. b. otwartą została w Paryżu międzynarodowa wystawa kolejowa, oraz wystawa okazów przemysłu, mających łączność z drogami żelaznemi, i że ona zamkniętą będzie dopiero w listopadzie r. b. Wystawa w lasku Vincennes, spowodowaną jest uroczystościami urządzonemi z powodu 50-lecia istnienia dróg żelaznych francuskich.

Regulamin wystaw może być przejrzany przez pp. przemysłowców, w Kancelaryi Oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczcę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Іюня 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.